

JANUSZ KOTARBIŃSKI

NOWELE TATRZAŃSKIE

Z LINOLEORYTAMI AUTORA

NOWELE TATRZAŃSKIE

JANUSZ KOTARBIŃSKI

NOWELE TATRZAŃSKIE

Z 5 LINOLEORYTAMI
WYKONANEMI PRZEZ AUTORA

NAKŁADEM AUTORA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI L. ZWOLIŃSKIEGO W ZAKOPANEM
1923

DRUK WYKONANO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA T. z o. p.
W POZNANIU

Żonie mojej.

I.

SEN

SEN

Fantazja sceniczna w jednym akcie, w trzech scenach.

Rzecz dzieje się w Tatrach przy Zmarzłym Stawie, w pobliżu turni Kościelca, wczesną jesienią.

Scena I: Zachód słońca. Scena II: Noc księżycowa.
Scena III: Świt.

Osoby działające:

ON *(mężczyzna w sile wieku, bujne włosy, ubrany niedbale).*
KRÓL GÓR *(starzec w fantastycznym stroju gazdy).*
ZŁY *(długa opończa, twarz piękna, wiek nieokreślony).*
ECHA GÓRSKIE.

1*

PRELUDIUM

Wracam do domu — cicho wokoło, nawet wiatr gdzieś się zatrzymał...

Może na szczytach rozplątuje mgły — może do snu kogo kołysze — a może z wieścią od Boga wysłany — nie wiem...

Cicho dokoła, — gwiazdami niebo usiane zda się zniżać nad ziemią uśpioną. Ach jak strasznie cicho! Jaki dziwny spokój, jak gdyby się coś stać miało, jak gdyby chwila czegoś, na co się zdawna czekało, nadeszła...

Smutno mi, gdyż wszystkie wspomnienia, myślą nieobjęte, czuję, przeżywam... Słyszę jakieś echa cudnych, a tak dawno przebrzmiałych melodji i jeno myśl moja wspomnień maluje obrazy. Zacierają się, — nikną, — a czemu nikną — nie wiem...

Chodzę po świecie, zbieram ludzkie smutki, chowam do mego skarbca. A tak cenię te perły bólu, jak najdroższe kamienie.

Jestem bogaty! Wszak mam tyle wspomnień swoich i cudzych, że już własnego szczęścia znaleźć nie mogę... A czemu? — nie wiem...

A gdy mi smutno, to mi się zdaje, że gdzieś blisko minęło mię szczęście, lub mija...

Wtedy mi zagrajcie, a tak rzewnie, cicho, bym mógł na chwilę zapomnieć o tem, że mam prawo być szczęśliwym — i nie mogę!...

Bo widzicie, — ja dużo wiem, — i nigdy nic nie wiem... Więc mi zagrajcie! niechaj melodją się uśpię, ogłuszę echem pieśni... Niech zapomnę, że szczęście nie dla mnie!

Dlaczego nie dla mnie?... Ja nie wiem...

Chodzę po świecie, zbieram myśli ludzkiej skarby bezcenne, a smutek mi wszędy towarzyszy.

Dlaczego smutek jest mi przyjacielem?

Ja nie wiem...

SCENA I.

Zapadający zmrok, dokoła stawu snują się wieczorne mgły, pełznąc ku szczytom. Od turnic Kościelcowych spełzły cień wciska się w szczeliny skalne, to znowu wałęsa się po żlebach. ZŁY ukazuje się z prawej strony sceny, wyłaniając się z mroku, (z cieni padających od turnic Kościelca), postępuje zwolna, bezszelestnie, jak gdyby skradając się, (tak samo, jak pełznący cień). Wstępuje na jeden z większych złomów i stamtąd mówi, akcentując gestykulacją niektóre zdania, jak gdyby do niewidzialnego tłumu duchów, którym wydaje rozkazy.

ZŁY, *(wskazując na szczyty turnic)*

Porozpinać mgły! Wpleść promienie zórz wieczornych! Zbudzić echa gór!

ECHO, *(odzywa się od Stawów Polskich)*

Od krawędzi — do krawędzi...

ZŁY

Mgłą przysłonić turnic szczyty!...
Ros wieczornych brylantami zasiać skalne mchy!
Niechaj cień się zwolna snuje, kędy wianki chmur u czoła
Snących gór.
Echo do mnie — echo do mnie!...
Smreków niechaj zagra chór wieczorny...
Niech mą duszę ukołysze pieśnią wiecznych skał,
Zbudzi myśli, co zasnęły, kołysane szmerem snących dolin...
Potem zgasić zórz rubiny! W mgieł tumanie gwiazdy błysną — jak myśl, co się w sercu budzi...

(woła)

Mgły na szczytach zasnuć przędzą!...

ECHO, *(odzywa się od Czarnego Stawu)*

Od krawędzi — do krawędzi...

ZŁY

Będzie marzył, będzie śnił.
(wskazując na doliny)
U nóg złoty pełznie cień, kędy śpiących dolin mgły się kłębią.
(szeptem)
Zmąci mu się myśl o władzy i tęsknota, myśli przędzą, świat zasnuje, tak jak mgły...
Będzie marzył sen o sławie.
(szyderczo)
U stóp wianki z mgieł...
Z dolin dzwon się rozkołysze. Ten wioskowy dzwon... cha — cha...!
(szeptem)

Echo dźwięki mu powtórzy mgłą stłumione, w duszy zasną mu melodją zbiegłych w niebyt lat — dziecinnych lat.

Wiatr mgły przędzie, rosą sieje. Pełznie cień wieczorny zwolna, zacierając życia ślad na ziemi i budząc duszy sen — urojenie — majak myśli poplątany, z życia ścieżek obraz senny, aż z dziecinnych lat.

(zamyślony)

Cień się snuje mar orszakiem
Echo się ozwało znów...

ECHO, *(ze wszystkich stron)*

Od krawędzi — do krawędzi...

ZŁY, *(przysłania ręką oczy i patrzy pochylony nad Zmarzłym Stawem.*

Pełznie orszak mgieł... Cha — cha! Sam już czuję, jak czar działa na mą duszę!... Zdaje mi się, żem jest on i że to mój świat!

(Czyni gest. Błyska się kilkakrotnie, długo. Zły znika w cieniu.)

KRÓL GÓR, *(powstając z lekkich mgieł, unoszących się nad Zmarzłym Stawem.)*

Bies się tutaj szastać musiał,
Porozsnuwał mgły po turniach
Błyskawicą spędził z powiek sen.

(z mocą)

Halny do mnie! Co za cisza!...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Od krawędzi — do krawędzi...

KRÓL GÓR *(idzie zwolna po kamiennych złomach ku przodowi sceny)*

Nawet echo otumanił, ogłupiało — i powtarza jego myśli.
Bies się tutaj szastać musiał!
Otumanił zaklęć mocą echo, smreki, mgły...
Błyskawicą sen mi spędził z powiek...
Coś zamyśla? Czy coś knuje?

(błyska się)

Komuś drogę znów oświeca. W mej dziedzinie mgieł i skał bies mi się zagospodarzył. Przez tę chwilę, gdym ja spał — turnie wiankiem mgieł otoczył, zbałamucił echo gór, ros brylanty na kosówkę siał — z gór mi zrobił cmentarzysko... wianki z mgieł...

Czyjąś chce opętać myśl, czyjeś serce zwieść...
Szatańska myśl! A przecież jam tu pan!
Do mnie halny wiatr!

ZŁY *(śmiejąc się długo, przeciągle)*

Cha — cha — cha cha —

KRÓL GÓR, *(rozgląda się dokoła)*

Co to? Zły, czy echo z Tatr tak się zaśmiało?

ZŁY

Cha — cha — cha cha —

KRÓL GÓR

On tu czyjąś myśl uwięzi czarem skał,
Siłą złą zatruje duszę — kiedy echo zwiodł.

(błyska się)

ZŁY

Cha — cha — cha cha —

KRÓL GÓR

Wciąż zasnuwa mgłą mi świat...

ECHO

Od krawędzi — do krawędzi...

KRÓL GÓR

Do mnie mój królewski dwór!

ECHO *(odpowiada w pobliżu)*

Królewski dwór...

KRÓL GÓR

No, nareszcie czar przemija.

ZŁY

Cha — cha — cha cha...

KRÓL GÓR

Czart się śmieje, że mi więzi halny wiatr w wianku chmur...

ECHO

W wianku chmur, w wianku chmur...

(błyska się)

KRÓL GÓR

Zbudzę mój królewski chór!

(strąca kamień)

Cisza. Stłumił echo. — Kpi...
Szmer potoków mgłą mi stłumił. Zasnął smreków chór...
Cały orszak zwiódł mi czart, gdym ja o porannej pieśni śnił...

(smutnie)

Potem zbudził błyskawicą, bym zobaczył, czem on jest i że ma siłę, która mną owładnąć może! Podły bies wie, że triumf jego krótki, bo gdy zbiegną gwiazdy rankiem, ja odzyskam moją moc, którą nocą on mi skradł, berło mi zabrawszy moje, nocny myśli ludzkich złodziej — czart!

Skradł mi piorun i błyskawic ogień krzesa, lecz piorunem nie zawładnie żaden zły i żaden czart!

To potęga twórczej siły — o tem wie on sam, więc kpi i błyska.

ECHO

Od krawędzi — do krawędzi...

KRÓL GÓR

Echo zwiódł mi czart!...

(Król Gór niknie, rozpływając się w mgłach. Noc zapada, brylantowa od gwiazd, świecących poprzez mgły.)

SCENA II.

ON ukazuje się od strony drogi do Czarnego Stawu, idzie ku przodowi sceny, otulając się od chłodu płaszczem. Bez kapelusza, włosy lekko rozwiane

ON *(mówi prawie szeptem)*

Gwiazdami niebo usiane, zda się zniżać nad ziemią uśpioną.
A myśli moje zbudziły się w ciszy, płyną na falach tęsknoty...

ECHO *(odzywa się od Czarnego Stawu)*

Od krawędzi — do krawędzi...

ON *(stłumionym głosem)*

Echo czuwa — moją myśl mi nasunęło... Co?
Ja się własnych myśli boję?

(w cieniu skał ukazuje się Zły)

Ludzi! tłumu ludzi! Niech ja własnych myśli nie słyszę gwaru!... Niech mi dusza snem zgaśnie dziecinnym... Niech świadomość bytu zaśnie...

Do mnie senny orszak mój!!...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Od krawędzi — do krawędzi!!...

ZŁY *(podchodzi do niego z boku)*

Twej myśli potęgą dałeś mi postać siły twych dziecięcych lat...

ON *(cofając się czyni gest ku czołu)*

Co to? Myśli mojej własne echo — cień —

ZŁY *(wskazując obu rękoma sam na siebie, wolnym ruchem, aż ku własnym nogom)*

Wskrzesiłeś!...

ON *(zgnębiony)*

Ja nie wiem już, czy śnię, czy mi się zdaje?...
Czuję jednak siłę obcą, co mi świat zamienia w sen.

ZŁY *(monotonnie)*

Potęgą słowa zbudzony...

ON *(zakłopotany)*

Jesteś...

ZŁY *(szyderczo lecz spokojnie)*

Geniuszem twym — potęgą, którąś ty uwikłał w słowa, boś się bał własną zbudzić siłę myśli swej rozkazem! Dopiero dziś wskrzesiłeś wolę...

ON *(z gestem lekceważenia)*

Jestem sobą, a on jest myśli mej potęgą — władnę sobą — więc nim władnę.

(zastanawia się)

Świat jest pyłkiem, bo tylko w mej myśli istnieje i wielkość jego cudów jest miarą mej siły...

(z mocą)

Do mnie mój królewski dwór!

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Królewski dwór...

ON *(z coraz większą pewnością siebie)*

Echem władnę, myślą sięgam tam — gdzie siłę traci wzrok! Echem władnę!...

(wskazuje łagodnym ruchem dokoła)

U stóp śpią doliny senne, osrebrzone mgłą...
Tulą się do moich turnic bory smreków ciemne.
Szemrze strumień. spowity w tuman z mgieł, spełzłych od szczytów.

(zastanawiając się)

A może to wszystko złudzenie?

(smutno)

Senny orszak mój...

ECHO *(cicho od Polskich Stawów)*

Orszak mój...

ON *(nadsłuchując)*

Echo mi do wtóru gra...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

... Cha — cha — cha...

ON *(szeptem)*

Jakąś obcą czuję siłę, co mi moją myśl wciąż więzi...
Czy ja śnię, czy mi się zdaje... lecz na duszę padł mi czar
Od tych turnic, od tych skał...

ECHO *(od Czarnego Stawu)*

Tych skał... tych skał...

ON *(zgnębiony)*

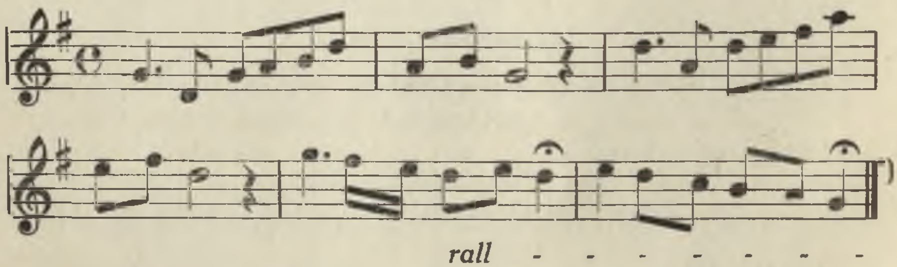
Podpowiedziało mi... to czar gór tak duszą władnie...
Myśli echo mi wykrada i w przepaść ciska bezdenną...
W pustkę, którą ja myślą zaludnić pragnę, tworząc własnych rojeń świat.

ECHO *(coraz ciszej)*

Rojeń świat — rojeń świat...
(Budzi się świt, mgła zasuwa wszystko dokoła.)

SCENA III.

Z oddali słychać cichnącą melodję: „Pasał Jano".
Szarzeje zwolna.



On *(przecierając sobie skronie i oczy)*

Przez chwilę stoi, jakby ze snu zbudzony, wsłuchany w gasnącą melodję — echa powtarzają ostatnie słowa:

„Pasał Jano tri woli u haja"

---

*) Melodja nieznanego mi autora, podawana przez Słowaków, jako ich własna.

ON *(z bólem)*

Zbudzony własną potęgą — walczyłem o sławę, owładnięty uczuciem, sięgałem po szczęście, myślą świat zmieniłem w raj rozkoszy, wzrok mój tylko to widział, co duszy mej było pragnieniem.

(coraz smutniej)

Widziałem górskie turnice, gdy z mgieł wiatrem rozpowite, strzelały dumnie iglicami swych baszt granitowych ponad halami. *(Głośniej)* Słyszałem szum potoków, co rwąc bystrym prądem, uciekały ku morzu, z łupem wydartym z łona gór...

Wsłuchiwałem się w echa górskie, co się tułały, zbudzone wśród turnic...

Rozradowanem spojrzeniem śledziłem cień, co się skradał ku przepaści i ginął, kryjąc się przed słońcem.

Odgrodziłem się od ludzi obojętnością i myśli własne umiałem kryć uśmiechem.

Umiałem milczeć, gdym słyszał dokoła gwar obłudy i poznałem ludzi i strzegłem się ich!

ECHO

...Cha — cha — cha!

ON *(ze skargą)*

I nagle wszystko mi zburzono! Dziś widzę stos papierów które są serca mego pamiętnikiem i listy, które są mi popiołem minionego szczęścia... Więc żyję cieniami mego raju, — więc słyszę echa pieśni, która niedokończoną zostanie...

ECHO

...Cha — cha — cha!

ON *(z rozpaczą woła)*

Co się stało? gdzie ja jestem?
Czyliż mię sen przykry nęka?
Nie! — Nie!

Zburzono mi spokój, zniknął sen mój promienny, rozwiał się jak mgła na świtaniu, co się wiatrem przędzie od krawędzi — do krawędzi...

ECHO *(od Czarnego Stawu)*

Od krawędzi — do krawędzi...

ZŁY *(od Czarnego Stawu)*

Cha — cha — cha! Cha — cha — cha!

ECHO *(od Polskich Stawów)*

Cha — cha — cha! Cha — cha — cha!

GŁOS KRÓLA GÓR *(stłumiony)*

Świat się budzi — czar przemija!
Do mnie mój królewski dwór!

ECHO *(w pobliżu)*

Do mnie mój królewski dwór!...

ON *(smutnie)*

Zniknął senny oszak mój!

ECHO *(w pobliżu)*

Senny orszak mój...

ON *(rozgląda się dokoła, coraz spokojniejszym głosem)*

Co to? Echa się zbudziły i grają, grają hymn odwiecznych Tatr.
Grają mi pieśń o szczęściu, co mię minąć może...
A ja słucham i w piersi mej jedna po drugiej pękają struny, na których pragnąłem swą pieśń życia, szczęścia, wyśpiewać!

ZŁY *(od Czarnego Stawu)*

Cha — cha — cha! Cha — cha — cha!

ECHO *(w pobliżu)*

Cha — cha — cha! Cha — cha — cha!

ON *(z bólem, poważnie)*

Stargali mi struny — mego życia struny! Lecz nic to! Ja im zagram jeszcze pieśń gromową; może obudzę duszę, może zatęsknią za pokojem i ręce zbrukane krwią — łzami obmyją!

ZŁY *(szyderczo)*
(ukazuje się z boku, z poza skały i czyni gest)

Kto ma obmyć krew tu łzami i kto tłumem tym zawładnie co do szczytu myślą pnie się? Czyja wola tłumem władnie? Kto piorunem klątwy ciska? Kto czar sieje w dusze myślą?

ON *(wpatrzony przed siebie, nawpół przytomny, ze wzrastającem zdenerwowaniem)*

Jakąś obcą czuję moc. I szept czyjś myśli moje plącze. *(przerażony)* Skąd ten tłum dokoła mar cmętarnych? Czemu wokół mię otacza?

ZŁY *(czyni gest)*

Cicho z wolna — pomaleńku...
Od krawędzi — do krawędzi...

ECHO *(w pobliżu)*

Od krawędzi — do krawędzi...

ZŁY *(czyni gest dokoła)*

Sunie orszak — tłum...

(Dokoła ścieśniają się mgły, w mroku przedświtu gromadzą się wokół, wspinają po skałach, otaczając stojącego na górze)

ON *(woła)*
(cofając się ku przepaści — mówi jakby do tłumu)

Precz mi z oczu, grabarze myśli własnej! Precz mi z oczu, handlarze uczucia! Słuchajcie tłumy!

ECHO *(w pobliżu)*

Tłumy — tłumy — tłumy...

ZŁY *(czyni gest — lekki wiatr się zrywa)*

Cha — cha — cha! Cha — cha — cha!

(szeptem)

Niech złudzenie nim owładnie... Niechaj szepty przekleństwo słyszy — domniemanych tłumów mar...

(Ściemnia się. Nadciągające chmury gaszą gwiazdę poranną. Błyska się, grzmi. Zrywa się silny wiatr.)

ON *(zgnębionym głosem)*

Co za ludzie? Skąd ci ludzie? Słuchajcie tłumy!

KRÓL GÓR *(ukazuje się pośród mgieł)*

Mgły, mgły, mgły! To bies chmurą świt mi gasi, więzi myśl, tumani mgły... Błyskawicą w chmurach błyska — podły bies! Na manowce myśl ci zwiódł!

ON *(nie spostrzega go)*

Słuchajcie tłumy, tłumy!

ZŁY *(niknąc)*

Tłumy!...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Tłumy — tłumy — tłumy —

KRÓL GÓR

Tumany mgły! Tumany mgły!

ON *(groźnie gestykulując, jak gdyby mówił do otaczających go tłumów).*

Zniszczyliście mi spokój, bom w waszych duszach chciał uczucia szukać — znalazłem pustkę...

Myślałem, że macie serca — a wasz jęk myśli moje oderwał od szczytów...

Spojrzałem wśród was — pustą macie pierś, a wasz krzyk rozpaczy jest krzykiem idącego pod nóż bydła. Zrozumiano? Zajrzałem wam w duszę — to łachman!... Wasze uczucia to myśli waszej gnijące w spodleniu odpadki!

ZŁY

Cha — cha — cha! Cha — cha — cha!

ON

Hej, tłumy, milczeć, bo ja myśli własnej szukam w oczach waszych — i nic nie znajduję!... Tylko widzę wykrzywione twarze! Precz mi z oczu!

Kto mi zakłóca spokój? Kto mi mówi o klęskach swoich w dniu, w którym dusza moja śniła sen o szczęściu?

ZŁY *(niknąc w cieniu coraz bardziej)*

Cha — cha — cha!

ECHO *(od Polskich Stawów)*

Cha — cha — cha!

ON *(woła)*

Kto mię z mych myśli chce okraść dla własnej korzyści?

KRÓL GÓR *(zbliżając się)*

Czart! — Czart!

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Czart — czart — czart —

ON

Czart? czart?

KRÓL GÓR *(wskazując na szczyty)*

Czart otumanił mgły. Echo swym rozkazem zwiódł...
Lecz to nic! Dam ci mój królewski chór: Jam Król Gór!
Z duszy twojej zdejmę pęta. On ci myśli zwiódł.

Z twoich własnych myśli nienawistny stworzył tłum. Smreków chór — w przekleństwo — w mary — mgły...
(czyni gest, mgły się rozchodzą).

ZŁY *(stłumionym głosem)*

Cha — cha — cha! Własnych myśli się już boisz! Tyś król — a skarb duszy myślą grzebiesz. Własny świat ci z oczu znika. Ty się sam już siebie boisz! Tracisz władzę! Strącasz w pustkę życia zachwaszczonych dróg. Myśl ci gaśnie!
(znika)

ECHO

... gaśnie — gaśnie...

KRÓL GÓR

Świta. Cień się nocy w przepaść kryje przed promieniem zórz. U stóp twoich mgły się snują, przetykane słońca złotem — i poranne skrzą brylanty ros.

ON *(zwraca się w stronę Króla Gór, lecz nie dostrzega go. Rozgląda się, jak człowiek dopiero zbudzony i mówi z początku cicho, potem coraz głośniej)*

I poranne skrzą brylanty ros... Co się stało? Gdzie ja jestem? Czy to dzień? W mgłach mi zginął nocy cień. Wokół smreków grają chóry... Zniknął sen.

KRÓL GÓR *(zmienia się nagle w starego gazdę i podchodzi coraz bliżej)*

Sen — Sen...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Sen — sen — sen —

ON *(zwracając się do Króla Gór, pyta naiwnie jak dziecko)*

A więc to tylko sen?...
Marzył mi się jakiś tłum, jakichś przekleństw chór...
Jakaś moc mną owładnęła. Własnych myśli orszak długi...
A to tylko mgły...

KRÓL GÓR *(dobrodusznie wskazuje ręką na turnie)*

Mgły — mgły...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Mgły — mgły...

ON *(jak wpierw)*

Zda mi się, że mi zerwano strunę moją, ukochaną, co mi echem pieśni dziecinnych śpiewała...

W duszy — echem lat dziecinnych...

A to tylko sen!...

KRÓL GÓR *(jak wpierw)*

Sen — sen...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Sen — sen...

KRÓL GÓR *(odchodzi w stronę Zawratu, szepcąc do siebie)*

Moc zła minęła — zostały same potężne...

ON *(z mocą)*

A na tych już rękę położyłem władną. Zagrają — gdy ja zechcę i kiedy zechcę! Do mnie mój królewski dwór! Senny orszak mój!

KRÓL GÓR *(wstępując w cień, niknie powoli)*

Niechaj zagra smreków chór!

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Smreków chór — smreków chór —

ON *(mówi, później woła)*

Niech nikt mojej duszy strun nie tyka, bo gdy jękną, ręką waszą targnięte — krzykiem rozpaczy lub gromem zabiłyby wam i tak snące dusze!

Niech na tych strunach nikt nie pragnie spocząć władną ręką, bo zerwane — jękiem zbudzą echa gór i załkają rozpaczy wołaniem, że pieśń umarła...

A co warte życie bez pieśni?

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Bez pieśni — bez pieśni,..

ON *(z uczuciem)*

Zostawcie mię w spokoju! Pieśń zasnęła w mem sercu lecz się zbudzi! Tylko wy nie budźcie jej, bo skona mi w duszy...,

A cóż warte życie bez pieśni?

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Życie bez pieśni — bez pieśni — bez pieśni...

KRÓL GÓR *(niknąc w cieniu)*

Niechaj zagra smreków chór — do jego myśli wtóru!
Niechaj z powiek zetrze sen promień słońca złoty!
Zniknie senny orszak mgieł w wianku chmur...

(echowym głosem)

Dzień się budzi i ros sieje brylantami, przędzie złotem mgły...
Od krawędzi — do krawędzi...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Od krawędzi — do krawędzi...

ON *(przytomnieje radośnie)*

Echo woła — budząc smreki, otulone mgłą...
Cień gdzieś w przepaść spełzł przed słońcem,
Wiatr mi smutek z czoła zwiał...

ECHO *(ze wszystkich stron)*

Smutek z czoła zwiał...

ON *(rozgląda się dokoła uważnie, cichym głosem)*

Świta!... Dzień!... A jam wśród gór?...

ECHO *(bardzo cicho)*

Wśród gór — wśród gór...

ON *(rozgląda się dokoła zamyślony)*

Zniknął senny orszak mar...
Zda mi się, czy też się śniło?
Dobry duch tych wiecznych skał —
Król Tatr — czar gór, wśród tych skał w wianku chmur...

(Słońce zapala rubinowe blaski na szczytach, złocąc poranne strzałki chmur.)

Zakopane 25. VI. 1914 r.

II.

POLOWANIE


IK

POLOWANIE

Zamróz szedł od wody, aż dech zapierało. Noc była ciemna choć nad Kościelcem parę gwiazd świeciło przebłyskliwie, zazierając do stawu,

Czarny kolebał się leniwie, pluchocząc srebrną falą o brzegi. Ze środka jeziora pełzła świetlista smuga rozedrgana na wodzie — to jaśniała — to gasła, zmącona silniejszem podmuchem wiatru, co ostatki mgieł zganiał z turnic Kościelcowych i „prał“ silnym podmuchem „dołu“; w staw ciskał, aż porozłaziły się dookoła jak te owce, idące do hali na „odwieczerz“. Cichość się kładła ogromna na hale i doliny. Czarny zmieniał stopniowo swą barwę: wygasały najpierw gwiazdy mgłą zasnute, potem zbladły seledyny prześwitającego nieba, ciemniała chmura rudozłota, rozpełzła się i zatonęła w głębinie.

Staw coraz bardziej ciemniał, z szmaragdowego stał się ciemno szafirowy i po chwili zaczął przebłyskiwać stalowym tonem, zamarłych w ciszy nocnej wód.

Jeno mały skrawek nieba bielił się mlecznym odcieniem znieruchomiałej wody. Tuż przy samym brzegu jakiś kamień błyszczał, jak szmaragd zatopiony — chybotał się — chwiał, jak błędny ognik i zwolna przygasał. — Z lekka i coraz drobniejszą falą staw oddychał, uciszał się, srebrzyły się łagodnie sierpy zakręgów wodnych, cicho tuląc się do brzegu — omywały kamienie coraz wolniej — wolniej — staw zasypiał.

---

*) Objaśnienia co do gwary góralskiej zamieszczone na końcu książki.

Cisza się zrobiła nieprzenikniona, ciemne sylwety turnic ginęły, jak gdyby rozpływały się, zanikając w pomroce. Chwilami zdawało się, że wody jeziora podnoszą się z wolna — zatapiają wszystko i chłoną. Dookoła rozlegało się ledwo dosłyszalne bulgotanie; to potok szemrał w pośród smrekowego boru, co wraz z turnicami w mroku zaginął — zatracił się — zaniknął zupełnie.

Coś zamajaczyło — to mgły pełzły po upłazach, jak mary pokutne i znikły. Noc była ciemna, bezszelestna cichość, aże podzwaniała fal poszeptem, co się coraz wolniej do snu układały w nadbrzeżne maliniaki. Łyskały czasem srebrno-bladym lśnieniem, jak oczy strudzonego wędrowca, co snem zmożony zasypia.

Cisza zapadła głęboka — chłód się wzmagał, a mroki stały się nieprzeniknione,

— Jezusie Przenajświentsy! ady syćko zatracone w tej ciemności nocnej, ze raty — ani ozeznać nie porada, co kany je.

— Hej! Pan Bóg być musi straśnie śpiący, bo syćkie gwiazdy pogasił; widno niefce, coby mu fto we śpiku przeskodę cynił – haj.

— Jasiek! kany ześ, nie widzem nic, podej ze mi renke, bo sie ka stracem,

— Hawok! nie wagujcie sie! Cujem was, ujku, trzimcie sie, ja wam wyproscem drogę.

— Okrutnie sie gmy posłaziły, prec mi po kerpcach przełazom, a pod cuhe się pchajom. — Okrutecna ćma.

— Widzis co kany?

— Nic, jeno uwazujem, co jesce nas nie otumaniło. Potocek siumi po prawej rence i kamycki turlikajom — musi dobrze was wiedem.

— Ja ci ta nie przymawiam — cucie mos jak nieboscyk Nowobilski, jeno uwazujem, co maliniaki na prawo.

— Cosik ci fciał pedzieć. — —

Zagrzmiały echa od Liptowskich Murów i przycichły — mgłą stłumione. Za chwilę ozwały się z bliska, najgłośniej zahuczały od Kościelcowych turnic, poniosły się Doliną Pięciu Stawów — ozwały się cichnące, aż w Ciemno-smreczynach. Gdzieś w przepaść ciemną posypały się kamienie, długo hurkotały, rozbijając

się po skałach i szły sypiąc się dołu, rozgłośnie strzelając po półkach.

Aż echa się znowu zbudziły, skłóciły się gwarem i zasnęły w ciszy.

Przystanęli, wsłuchani w ostatnie poszepty, co ginęły w mrocznej czeluści skalnej i zapatrzyli się w dal niezgłębionej nocy.

— Na mój dusiu, widzi mi sie, ze to bedom luptowscy polowace. Przepłosom kozicki, psiekrwie madziary zatracone!

— Posłuchojcie ujku, cy nie tak bedzie jakok pedzioł?

— Ee, coz bedem uwazował, widno co gma letka i tam stela się przejaśnia, widno co się przebierajom. Co bedzie — to bedzie!

— Jasiek? a mas bacenie na flinte? gma idzie — coby ci nie zamokło.

— Adyć nie mówcie, bo ci ją tule ku sobie, jak panne. — Ciepło jej.

— Ale! mówiem ci jeno bac, bo cosik bedzie — juz jo to cujem.

Zgrzytnął kamień, potoczył się ze stukiem, że przycichli — wsłuchani. Stary zaklął. Szli obok siebie blisko, bacząc na kamienie, by ich nie strącić w przepaść.

— Ujku, nibyto skrony tyk luptoków mówicie?

Stary chwilę przemilczał, a potem ozwał się zcicha. — Wies hłopce, cni mi sie.

— A bez co, ujku? dy nie mas naproci was fajniejsego polowaca, aże hyr idzie na cały Luptów, a i orawcy o was grawajom:

Nie mas to lepsego w górak polowaca,
jako Samuś Byrcyn, zakopiański baca.

Stary poprawił „cuhe“, aże flinta szczęknęła o spinki pasa i mruknął niechętnie:

— E wis hłopce, to sie jus mineno, jeno śpiewka się ostała, jo juz nie ten, cok przódziej był.

— Ej hłopce! jo juz długo polował nie bedem — hej.

— Coś mi sie widzi, co was noga poboliwa, no, nie dziwota — gmy kieby tej mąki we młynie, suje się tego dziadowstwa z turnic co strak. Zawdy wam tak je, kie mokrość was przejmie.

Posłuchajcie — wysusycie na słońcu smaty to i myślenia załośliwe was odeńdom. Juz ja to uwazujem. Prawde godom ujku?

— Ej hłopce, hłopce dobre mas serce i cujące — jak ta niebozycka moja, boś jej wnęk. — Haj!

— Dobrze bacem, ona ci wse utrefiła w samo serce, a to — tak, abo tak, a kiej się popatrzyła w ocy, to kiebyś ten Carny Staw w słońcu obacył. Haj.

Jasiek nie odrzekł nic, jeno plunął i twardziej stąpał, aż drobne kamuszki posuły się w przepaść.

— No nic ta dziecko, co bedzie to bedzie, abo na te strone, abo na te.

A nie ozwidnia sie? bo mi się widzi co turnice hań widno — nie bacys?

— Kapkę ujku, ale bars ni. Kieby komu w pysk dał, toby nie uźrał komu pedzieć Bóg zapłać.

Stary przyśmiechnął się i zamruczał:

— Na mój dusiu, takik som był jo, — kielo to mi roków? pockaj, cztery ośmdziesiąt. — Ano bedzie, bo jakem tego madziarskiego dziandziara uciszył za Podbańskom, pod Hradke — bedzie dwie dwadzieścia wiesen.

E, wies fajny beł hłop, jeno mu djasek narail, co mi — despekt cynił przy bacy, przy Holosowi. Tok go ucisył — Hej!

Na wiesne śniegi były okrutne, co się widziało nie przepuści bez Kamienistom. Taka ci była kopica śniegu co raty. A na Błyscu, aże słońce ślepiło od tego leżącego śniegu — wis? Lawiny sły z takim hukiem, kieby pieruny waliły. Przebrałek sie za Podbańskom pode Hradek, ku Holosowi. Ba wis, beł to mój towarziś.

Ej zmarło mu sie, zmarło — a zbójnik był fajny i zmyślny co strach. Zasuło go kamieniami pod Młynazem. Straśnie był ciekawy na kozice, no i za kozickom zginon. Nie tak jako jo, co pewnikiem jako baba umrze w łózku pod piezynom.

Ej Boze! zasuły go wanty, do znaku zasuły. Kosówka mu zasumi, a potocek płace, abo mu halny przygrawa — Haj!

— Ujku markocicie co raty, a to byk myślał, zeście się w młódce zalubili. Banujecie aze mi dziwno, co kamienie nie płacom, telo lamencicie.

— Dziecko ty jesteś naproci mnie, dziecko. Młódka ci się patrzy z ocami światłemi jak ten staw Polski pod Miedzianem. A nie mas wyrozumienia, co mi śmierć zaźrała w ocy i posła het, a mnie niewiada bez co ostawiła — zabacyła. To ci banujem, bo mi zal co kie przydzie po mojom duse to nie bedem wiedzioł i przyryktować sie piknie nie zdolem, jako trza. Hej hłopce! kieby jo wiedzioł tobyk wyseł naproci niej, a uzdajoł syćko staroświeckom modom: pas byk wzion pikny, syroki, nabijany guzikami tyk madziarskik dziandziarów, cok ich ucisył po dolinak — po Orawskik — i z temi kółeckami złocistemi, cok ik pobrał od luptowskich juhasów — Hej.

Śpiom se po źlebach pod Rohacem, pod Krzywaniem w Staroleśnej. — Beło tego beło. —

A wzionbyk sobie i to piórko z orła, cok go zabieł na lotku, kiek to chodził do niebozycki do Jurgowa. Wies prziniosłek go jej i pedziołek, co kure niesiem, a to był oreł. A taki ci był złocisty w słońcu, jak te dukaty, cok naseł w Starej Robocie pod wykrote za potockem. — Hej.

Oześmiała się nieboscycka i to pióro mi zaprawiła do kapelusa i orłem przezywała me — tok się do dziśka orłem ostał. Choć niewiada, co ta z tego orła sie ostało!

Potknął się i zaklął.

— Uwazujcie, ujku, i trzimcie sie kole ściany, — wicie gma zenie dołu, syćko mokre, jakby spłakane.

Stary przybliżył się ku ścianie i przez chwilę szedł milczący. Nagle jakby sobie coś przypomniał, odezwał się:

— Sielnie ja sie ta nogami tej ziemi nie trzimiem.

Uryktował by sie ja naprociw śmierci i poseł po tyk perciak skalnyk, niósbyk sie nad te przepaście, zaglądał we stawy zaśpione, a hukał na niom, coby sie ka nie zatraciła, coby uznała co ku niej idem, — Haj!

— Ej, hłopce! cy cie zamróz chycił, coześ sie tak ciepnął w sobie? hej hłopce.

— Zamróz idzie, gwiazdy mrugajom, kiej te ocy zapłakane załośnie — zimno. Pójdziemy warciej ujku.

Mrok zelżał, srebrzyste mgły czepiały się po skałach, pełzły z wolna, jakby szukały przejścia, zbierały się na przełęczy. Gdzieniegdzie z poza chmur i mgieł tumanów przejaśniało niebo, cienie snuły się po żlebach, to pełzły ku przepaści i ginęły w tumanie, co się kłębił, jakby z bacowego kotła, aż stary się roześmiał i rzekł radośnie:

— Wis jako się warzy, kieli to opar idzie i dymami bucha. Pikny ten kociołek — Hej.

Jakoś i miesiączek przezierał po przez chmury. — Widno Pan Bóg sie wyspał — to aniołkowie gwiazdki ozpalowali, — powiedział stary.

Szli ostro pod górę.

Hen, tam w dole spoczywał Staw Czarny. W zimnej zaśpionej wodzie, czystej jak kryształ, przeglądały się turnice — odbijały się żleby, usypiska kamieni z gór spadłych. To znowu — jasnemi smugami, zielonawym przebłyskiem majaczyły śniegi topniejące po piargach, odbijały się szeregi pnących się ku skałom kosówek, gdzie niegdzie rozbiegały się w kępki — tworząc ciemne wysepki na tle zatopionych usypisk. Woda brała to w siebie i coraz jaśniejsze dawała odbicie tego, co chłonęła w głębinę.

Zdawało się, że te percie idą do wody, że schodzą w głąb, w toń ciemną, szmaragdową, gdzie światło przejaśniało. Szafirowe, aż czarne od granatu cieni turnice topiły się omroczone.

Ciemne wody stawu zacichły zupełnie, nie widać było gór podnóża, jeno jakąś makatę wzorzystą, haftowaną srebrnemi smugami śniegu, które się schodziły ze sobą. To znowu ogromne bryły śnieżne zdwojone przez odbicie w wodzie, tworzyły fantastyczną poczwarę, a za nią ukośnie biegnący ku turniom żleb przeglądał się w ciemnych wodach, dając zupełnie złudzenie rozbryzgujących się fal.

Księżyc świecił coraz jaśniej, a mgły ustępowały na turnie, rozpełzły się, jak gdyby spłoszone dziwami, które się działy na cichych wodach martwego jeziora.

— —

Stary przystanął i z lubością popatrywał na tę ciemną wodę ze mgieł rozpowitą, a taka mu uciecha z oczu biła, jak dziecku, gdy mu lusterko pokazują i widzi „światy“ w niem przeglądające się. — Stali tak chwilę zapatrzeni, aż mgły znowu zasnuły staw i swą srebrzystą przędzą zakryły taflę znieruchomiałej wody.

— Okrutnie lubie tom wode, scera, otwarta, zawdy pokaze co kany je, a kazdy w niej siebie uwidzi — powiedział cicho, i poszli, gdyż chłód robił się coraz silniejszy, że to się na świtanie miało. Zaczęły się teraz skalne półki, kominki i żlebki. Szli szybko, stary brał się pierwszy, stąpał lekko, przeginał się przy chwytach jak młody, z łatwością i zręcznie wspinał się ku przełęczy, szedł bez pomocy łańcuchów i klamer, ba, nawet pomijał je, gdyż, jak mówił, okrutnie nie lubił patrzeć na człowieka w łańcuszkach, a już co gór to ścierpieć nie mógł w żelastwie.

— Straśnie niewolny naród, kie turnice wzieni w kajdanki coby im luto nie było za ślebodom. Ano pewnikiem ludziska dólscy, to im łańcuchy zbyrcom — to i w górak bez łańcuska nie porada — mówił pogardliwie.

Zimno już było i wiatr przeciągał od przełęczy. Stary — coraz to był weselszy i przekpiwał z wnuka, że opatruje go i baczy czy kości nie pogubił.

— Jasiek nie bój się nic, bo chodzem piknie jak się patrzy.

Odżył w nim polowac nad polowace.

Nagle Jasiek się potknął, posypały się kamienie i długo huczały odbijając się od półek i trzaskając po płytach skalnych, aż echa ozwały się hurmem ze wszystkich stron.

Raptem stary złożył dłonie, jak do krzyku i przez zęby zabeczał raz i drugi. Posłuchał co mu echa odpowiedziały od Liptowskich Murów i znowu ciszej beknął przeciągle. Jasiek rozradowanemi oczami — spojrzał na niego i cicho zagadał:

— Wicie ujku okrutnieście zmyślni, to wyście bez to zabeczeli coby kozy myślały, co to one tak się kajsi zatraciły i sypiom piargiem w górę idący, prawda?

— Zje, ba jakos — odrzekł stary myśliwiec i pilno nasłuchiwał.

Gdzieś w oddali zabeczała koza; odpowiedział z cicha i sypnął garstkę kamieni, że potoczyły się z jazgotem, rozsypując się gdzieś w przepaści od mgieł dymiącej.

Nastała chwila ciszy przedświtowej. Pociągał wiatr chłodny, zawiewał strzępiąc mgły — to rozwłóczał je po wierzchołkach — to zwijał pędząc ku żlebom. Odsłaniał ciemne turnie, to znowu kłębił je nad stawem, topiąc w zbielałej od jaśnień wodzie, aż się rumieniły od zorzy, co się w stawie przezierała.

Świt wstawał cichy, pogodny, jasny. Całe już dywany kosówek wyłaniały się z mgieł seledynowych, zwieszając się przepastnie nad stawem, to znowu kępkami się rozsiadły, jakby na naradę pośród olbrzymich usypisk zielonych, jak zaćmiony mgłą malachit. Mchy i trawy pełzły po upłazach różnobarwnie, to żółte, to jak rdza ze złotem, a i czerwone czasem jak strzępki królewskiej purpury. Zaś nad usypiskami wznosiły się ciemne granitowe skały, dzikie, poszarpane, ostro grzebieniaste, gdzieindziej zaś strzeliste, jak wieżyce kościelne lub ruiny zamków. A takie czyste, rosą mgieł spadłych omyte, jeszcze senne, a groźne, jeszcze niejasne — a potężne w swym ogromie.

Dzień się zbudził pogodny, szklący się miljardami brylantów ros, osiadłych na kosówkach, z lekka osnuty mgłą świtania.

Szli ciągle bystro, wspinając się po pionowej ścianie obmokłej od mgieł.

— Beskurcyje, ani ich nie widno — szepnął stary. Wtulili się obaj w szczelinę skalną, mniej tu wiatr zawiewał, a widać — było piknie co kany je i jako się mgły przeganiały po dolinach.

— Jasiek, cieplejby ci było u Józki na holi — co?

— I, nie markotno mi, dzieuha nie gma, nie zginie.

— Ale ba, ubośkała by cie.

— Pockam, ostanie sie na omaste.

— Bac, hłopce, bo syćkie koty na spyrke som jest łase — rzekł stary i uśmiechnął się.

— Ujku widzi mi się, coście całkiem od młódek nie odwykli.

— No wis, hłopce, kazdy kwiat me ciesy, jeno na starość to ik nie marnujem, niek rosnom. Pokiel jek beł młody to ta beło tego — beło.

— Ja ta wiem co ujek na sarotki nie hodzujom, jeno na kozicki, zaśmiał się Jasiek.

— Ano rzekłeś, jeno ci powiem co bedom. Nie bój sie nic, luptoki ich pasom, to nam przygoniom cały kierdelik. Tu bedzie bars dobrze strzelać, uwazujes? ostaniemy.

— Ano ostaniemy.

Stary poprawił się, strzelbę oparł o szczerbę skalną, a popatrywał na perci po skałach biegnące.

— Wicie, jak to łazom! Zdałby sie jaki luptok na juhasa do kozicek, Dziadostwo.

Nagle scichł i zapatrzył się jak orzeł, gdy sobie owieczkę wybiera. Pochylił się naprzód, przetarł oczy i warknął przez zęby.

— Idzie kierdelik fajny — idzie, o fajny.

— Na mój dusiu idzie!

— Jasiek wybier se ze środka boś młody toś na młódki łasy, a ja capa se biere na siebie. Nie fce ci być przeciwnym przy nik a nie wiedzieć, która ci się uwidzi. A uwazuj na muske u flinty cobyś ka gmy nie ustrzelił. — Zakończył i ucichł.

Umocował jakiś kamień, który mu przeszkadzał, podsypał prochu na panewkę i zasunąwszy się w szczelinę skalną, uparcie wpatrzony przed siebie czekał. Jasiek pogmerał coś przy swojej flincie, zaklął po cichu i przyczaił się za wielkim głazem tuż obok starego. Czekali śledząc wytężonym wzrokiem omgloną perc sklaną, po której pędziły ostro kozy, skacząc zwinnie. — Zbliżały się szybko, że już można było je we mgle rozeznać dokładnie. Prowadził stary kozioł — chwilami zatrzymywał się, zbaczał na półki, wypatrywał, obzierał się za siebie i pędził naprzód. Stadko wspinało się za nim, przesmyknęło się szybko po wiel-

kiej płycie granitowej, odchylonej ku przepaści i zaczęło biec po skalnej perci na prawo od urwistego żlebu. Było coś sześć, czy siedm sztuk tego — trudno było rozeznać dokładnie, bo szły nierówno, wyprzedzając się wzajemnie. Widoczne było, że są przepłoszone,

— Jasiek bacys?

— Bacem.

Spojrzeli obaj błyskawicznie po sobie, stary pochylił się jeszcze bardziej, brwi ściągnął, twarz mu się rozjaśniła. Oczy miał skrzące, włosy rozwiane nad czołem, przegarnął je; znieruchomiał w oczekiwaniu. Już były na uboczu turnicy naprzeciw nich tuż za omroczoną, dymiącą się czeluścią przepaści. Za chwilę będą nad samym brzegiem.

Jak dwa pioruny gruchęły strzały, aż mgła sfalowała się od huku, jak gdyby zlękniona, cofnęła się w głąb czeluści. — Echa zagrzmiały rozgłośnie, huknęły tłumionym gwarem od dolin, zahuczały w Pięciu Stawach, odbiły się od Murów Liptowskich, ozwały się za Kościelcem i ścichły gdzieś nad Zielonym pod Świnicą. — Stary gwałtownie pochylił się ku przepaści i krzyknął.

— Kopyrtnął sie!!! ale i twoja takoz idzie dołu.

Rzeczywiście z poza lekkiego dymu i mgły co nadchodziła widać było pierzchające na wszystkie strony stadko i kozła, jak bezwładnie staczał się do żlebu. Jeszcze osunął się na bok, grzebiąc kopytami, jak gdyby chciał się podnieść, zerwał się, padł na kolana i runął z półki w żleb zawalony piargiem, potoczył się kilkanaście metrów, roztrącając się o kamienie, aż wreszcie zatrzymał się na wielkich głazach zaścielających skalne rumowisko.

Młódka zaś runęła głową w dół, aż się kamienie posypały — odrzuciło ją na bok, stoczyła się na małą półkę skalną i tam już została. —

— Krotni miliońscy!!! Wielgo pani musi na podściółce, coby jej mientko było. Widzicie jom, beskurcyjo! — zaklął stary, spoglądając ze złością na niedostępną półkę.

— Ujku? bedziemy jom brać od Cichej. Co? Jako sie wam widzi?

— Ano trza sie bedzie brać dołu — nie wiedzieć, jako to bedzie, cy ze żlebu popuści na wirh abo jak? Psiakość zatracona z tom półeckom. Na mój dusiu, gmy idom, trza pockać coby sie cłek nie utracił kany.

— Gadałek zawdy, co z młódkami to trza delikatnie, trza ją było z bliska. To se bac, ze młódke to se zawdy z blizka biere, bo jak ją daleko popuścis, to ci ona na despekt zrobi, albo sama legnie — ka nie trza, ej.

Plunął ze złości, nasypał na dłoń prochu, potem do lufy — wziął kawałek gazety, zmiął w ręku, chowając resztę do torby, zrobił przybitkę, następnie zatknął, ubił mocno, wsypał kulek i znowu przybił papierem i mruknął prześmiechliwie. —

— A no jak se przecyta, to bedzie ucona.

Wyjął fajeczkę, cyknął ślinę przez zęby i spytał: A gotowyś? Przysyp prochu jakbyś dla rodzonego ujka sykuwoł.

— I, zawdy wam coś do śmiechu.

— Do śmiechu, nie do śmiechu — a bac koło siebie, coby cie gma nie omamiła, bo wartko dołu pójdzies. A ja w latach, to cie tu z młódkami w towarzistwie nosił nie bedem, haj!

— Ale wis hłopce rodzony? dziwno mi co pastuchów jesce nie widno, musi warujom, psie łby zatracone.

Zaczęli się zbierać, schodzili wolno, zstępując w dół po oślizgłych kamieniach, wypatrując bacznie na wszystkie strony.

Nagle zagrzmiał strzał — jeden — drugi — trzeci, aż echa zmąciły się, odhukując po dolinach.

Stary momentalnie zmierzył się i poprzez ramię wnuka gruchnął w stronę żlebu, aż echo zagrzmiało i zcichło. Na perci którą dym odsłonił, leżał luptak z lekka nachylony nad przepaścią, coś gmerał rękami, jakby szukał — przewrócił się na bok i zsunął w przepaść. Mgły się zakłębiły i buchnęły jak z kotła. — Cisza nastała straszna, gdzieś echo ozwało się milknącym odgłosem strzału i zcichło.

Po paru sekundach z czeluści kłębiących się mgieł ozwał się łomot zciszony, jakby kto wór z mąką rzucił na ziemię.

— Ament — powiedział stary niechętnie. — A wszystko bez tom młódkę — bacz to sobie. —

Słońce wschodziło jasne, całemi snopami promieni siejąc dokoła. Po skałach pełzały ozłocone mgły. Strzeliste iglice turnic zapaliły się purpurowym błyskiem, zagorzały jak pochodnie. —

Wstawał dzień jasny — słoneczny. — Chłodny wiatr zawiewał od dolin, — szumiały smreki ze snu zbudzone, z mgieł rozpowite.

Czarny Staw się zbudził i srebrne fale półkręgiem biegły ku skalnym brzegom, omywając zieleniejące, zlodowaciałe śniegi.

Fałków 23-24/IV 1919.

III.

ZATOPIONY SZMARAGD


IK

Szarskiemu jakoś dziś nie szło. Wdrapał się wraz z Szymkiem Tatarem na Kościelec, co nie było łatwem, gdyż trzeba było ostrożnie nieść duże płótno i składane stalugi, a staruszka nie chciał tem obarczać. I tak czynił sobie wyrzuty, że jest egoistą, który zawsze w pogoni za wrażeniami wyzyskuje ludzi, z którymi go los zetknie.

Tak było i dziś; „Króla Gór“ nie mógł skończyć, gdyż nagle ogarnęło go zniechęcenie — poco to wszystko i na co! I tak go nie namaluje, jakby pragnął, ta dziwna twarz starego górala wydała mu się wprost nie do uchwycenia.

— Jaka szkoda — myślał, — tyle trudu i napróżno.

Siedział więc na wielkim bloku skalnym i patrzył w przepaść. Gdzieniegdzie rozstępowały się skłębione mgły, tworząc czeluść, na dnie której czerniła się zamarła w bezruchu toń Czarnego Stawu.

Szymek Tatar pykał powoli z fajeczki, która mu gasła od czasu do czasu; wtedy zapalał ją z powagą i znowu nad czemś rozmyślał. Po chwili jednak ocknął się z zadumy i spytał:

— Bez coz tak, panie, zazieracie w przepaść? jakobyście zazierali w truchłę la was ozwartą. Macie cas — młodziście jesce. — oj młodzi!

— Co mówicie gazdo — spytał go machinalnie Szarski, nie przerywając sobie toku własnych myśli.

— Nic, ta jeno myślujem sobie, że cosi wam omierzło w życiu — nie ślebodno wam na duszy.

— Dlaczego tak gazda myśli?

— Locego? Jedy bacę, cok sie wam gazdostwo widzi, jeno nie na tym świecie. Luto wam, jako smreckowi, co hań nad

przepaścią stoi — o haj! — tu wskazał ręką w omroczoną dal i zwolna mówił, kiwając głową:

— Wicie zycie je seliniejakie; trefi sie, ciężkie bywa — hoćka pikne — a życie nie zborguje, ani na telo! — to mówiąc zepchnął z trudem duży, ciężki głaz w przepaść.

— Posłuchajcie, panie, jako bedzie lecioł. Trzynaście porachowałek, słyseliście? zahucał, aze sie echo ozwało — kielo to hucy! Szarski z zaciekawieniem śledził wyraz twarzy starca, było tam coś, co zastanowić mogło — uśmiechał się łagodnie, ale brwi ściągnięte nadawały pewną ostrość zakrzepłej w suchych rysach twarzy opalonej od wiatrów i słońca.

— No i cóż z tego wnioskujecie?

— Co se miarkujem? — a wicie to tak: hoćka wartko cłek rad skoczyć śmierci, skrony tego co życie go bije, to ona jesceby wam nie prociwna beła, cobyście myśleniem świat zegnali — lecący dołu. Jeno wicie, zol by wam beło zycia — i słonka — a tam mrocno.

Szarski zamyślił się przez chwilę, a później zwolna zaczął mówić:

— Macie rację, gazdo! ale prędzej, czy później sen się prześni — a smutek zostanie i ból, jak rdza stoczy serce — i poco i naco ta cała cicha walka człowieka z niewiadomym mu losem?

Szymek Tatar popatrzył się na niego swemi jasno-niebieskiemi oczami tak dziwnie, że Szarski czuł, jak gdyby to spojrzenie przenikało go na wskroś, zatapiając się w bezkresną przestrzeń świata.

— Panie, wyście kawalir? Jako bacem, co wam się cni, a myśleniem to światami hodzicie — tak to wej, tak, — ciągnął starzec coraz cichszym głosem. Nagle ożywił się, oczy błysnęły mu życiem i zawołał:

— A obezryjcie sie koło siebie — moze sie nańdzie cosi kajsi la oka miełego i la serca do podoby. Nie znasło by sie?

— Co mówicie, gazdo, czego mam szukać koło siebie?

— A bo to wicie tak, — gawędził, pokazując na dalekie łańcuchy skalnych szczytów, — z daleka to wicie, one takie som

jest cudne jako by sie wam we śnie ukazały. Myślał by cłek — Boze Jedyny — lo cego ja nie mogem hnetki tam być! — prawda, panie?

— No prawda, mówcie dalej, bo jeszcze niezupełnie jasno rozumiem o co wam chodzi.

— Oj ludzie, ludzie, a ik ta haw macie dość seliniejakik cudności, a hnet pilno ocyma sukacie, ka by iść. Haw som jest, jeno blizko, to widno piknie ka co i jako Pan Bóg fciał uzdajać, — to wicie la was i nie wyśnione.

— Oj to prawda, gazdo, prawda.

— Gadacie co prawda, a myśli wase wsendy jeno nie przy was. — Przy tych słowach twarz Szymka Tatara wyrażała zdziwienie i smutek. Znać było, że on musiał dużo przeżyć i niejedno widział.

— Co wy scęścia szukacie po górak — po wirhak — co? a nie widzi sie wam ono hań? — tu wskazał na przepaść — oj tam go nie nańdziecie, oj ni!

Zasępiła mu się twarz, jak gdyby jakiś cień na nią naleciał i smutno ciągnął dalej, z lekka gestykulując:

— A tacyście młodzi, świat dla was ozwarty — cytać wam Pan Bóg przyzwolił ze swego pisania — tu wskazał przed siebie szerokim ruchem.

— A wy prec myśleniem własny los zagrzebujecie w dusy, o haj!

Szarski zdumiał się tej wyrazistości określenia jego stanu psychicznego, lecz odruchowo zaczął się tłomaczyć:

— Kiedy go nie znajduję, wy tego zrozumieć nie możecie, że właśnie ja...

Gazda mu wpadł w słowo:

— Jako mi sie widzi coście fcieli pedzieć, co nie wicie kany on — coście sie ozminęli ze sobą — prawda?

Tego się nie spodziewał; jak to? więc ten stary góral mógł czytać w sercach ludzkich? mógł zobaczyć to, czego on sam nieraz doszukać się w sobie nie mógł? Był tak wzruszonym, że prawie głośno krzyknął:

— Gazdo, skąd wy wiecie, co myślę? czyż z wyrazu twarzy można odczytać wszystkie myśli? — to dziwne!

Starzec popatrzył mu w oczy i pokiwał głową.

— Casem to można, jeno jak wto ma światłe lico, otwarte. Oj, włos mój siwutki, a ocy nie bars bystre, jeno stare, doświadcone — napatrzyłek sie, jako sie ludzie marnujom — od myślenia. Ponieftóry pikny, fajny na licu, urośniony, a kie mu sie przypatrzys — jedy on chory na nuku, wątroba w nim gnije — to wej tak! Casem wicie, mogem wymiarkować o cem cłek myśli. Oj tak, panie! — A malować nie bedziecie?

— Nie, wolę was posłuchać, tak miło mówicie — mądrze.

Szymon Tatar uśmiechnął się, przyjaźnie patrząc na Szarskiego.

— Widzem, co radzi słuhacie, jeno uwazujem, co wasze myśli ozminom się z mojemi.

— Ależ nie, niekoniecznie, czasem dobre słowo w porę może jeszcze i z drogi nawrócić.

— Niekze — jeno co wam powiem, to wam powiem, co wyście, jako i jo, niedalecy od spocynku. Jeno mi cudno, co tak zawcas zegnacie syćko, co wam miełe beło; oj zol mi was, zol, cok wam przewodnicyć w zyciu nie przewodnicył, jeno po tyk turniak. Przepytujem was piknie, uwazujcie cok wam pedział.

Dziwny starzec! żeby tak móc odgadywać myśli ludzkie — zastanawiał się Szarski, składając pudełko z farbami do plecaka, oraz inne przybory; gdy już zapakował wszystko, poczęstował gazdę tytoniem, który zawsze miał dla swoich górskich przyjaciół, a sam zapalił papierosa.

— No, ale nam czas będzie iść, bo mgły się zbierają nad stawem, a ciągną od Świnicy.

Staruszek bystro popatrzył, nie przestając ugniatać tytoniu w dłoniach, potem spokojnie nałożył fajeczkę, zapalił, pyknął parę razy, chwaląc „habrykę“, że „pikna — bars fajna“, splunął przez zęby i mruknął, jakby do siebie:

— Cosi kajsi z tego bedzie, jeno za kwile. Wicie kany te gmy pozłaziły się — o haw, ka ta kosówka się cyrni; syćkie w górę pudą — bedzie dysc, oj bedzie pikny!

Zaczęli spuszczać się ze złomów skalnych, zmierzając ku przełęczy. Wiatr z lekka pociągał, co utrudniało im zejście, wciąż odchylał wielkie płótno, które niósł Szarski.

— E, bestyjka, jak ci to biere. Ten by cię hnetki zaniósł, wej to na hole — ej zaniósłby!

Zeszli na Karb i opuścili się po zachodniej stronie zboczu, ku Gąsienicowym stawkom. Mgły się podnosiły z wolna, gęstniejąc nad szczytami. Szymek Tatar naglił do pospiechu, gdyż, jak utrzymywał — „może ich wyonacyć“. — Schodzili więc po olbrzymich maliniakach, chcąc wybrnąć na perć od Zielonego Stawku, biegnącą ku Hali Gąsienicowej.

— Pódźcie, panie, cobyśmy ze gmami towarzystwa nie utrzymowali — popędzał staruszek.

Zagrzmiało raz i drugi.

— Gdzieś w dolinach burza być musi. Ależ echo! — zachwycał się Szarski, przystając, bo gazda pozostawał w tyle, zmęczył się.

— A od dolin — od Orawskich. Cosi kajsi nie pomyśli Panu Bogu, ozeźlił i gzmi.

Powiał silny wiatr od Kasprowego Wierchu, przez rozdarte mgły miejscami przebłyskiwało słońce.

— O! wicie, jako ozkazuje, co by wiatry obacyły co kany je! Hej, mocny Boze — hej! — wysunął się naprzód i wesoło zawołał, gdyż schodzili już w dół, ku schronisku.

— Pockajcie, panie, póde przódy — bo to wicie, kapelusem bedem gmy ozganiał — kie bedzie trza.

Zdążyli przed samym deszczem, Szarski siadł na ganku i patrzył na zygzaki błyskawic, które w rozmaitych kierunkach przecinały niebo. Od gór szedł szum wzmagającej się ulewy i rozlegał się echowy grom trzaskających piorunów — burza przechodziła bokiem. Już nad Świnicą zaczęło się wyjaśniać, a po chwili mgły spełzły w dół i zabłysło słońce. Staruszek poszedł do któregoś szałasu na „zyntyckę kisonom“. Wybiegła gaździna ze schroniska z putnią i popatrując w stronę Kopy Magóry, gdera na męża:

— Jedy wartko! ryktuj herbe w obu kotlikak, bo goście idom. Domocyło ci sie to, ze raty, — użalała się nad jakąś młodą turystką, która pierwsza nadeszła.

— A cóż to, samiście — pytała gaździna.

— Sama — ale wyminęłam na Boczaniu aż trzy duże wycieczki; moc gości dziś mieć będziecie. No, ale chciałabym się osuszyć u was przy ogniu.

— Wojtek! — krzyknęła gaździna — hybaj do pola, bo sie tu panienka bedzie suszyć. Wartko, bo kie póde, to rany Boskie...

Wojtek nie czekał i wyleciał z izby, a gaździna biadała:

— No wicie państwo, jakie to domocone!

— A rzeczywiście, krótko, ale strasznie lało. Tuż za przełęczą Kop Królowych deszcz nas złapał.

— Grzejcie sie piknie, macie herbe, rum, — jeno uwazujcie, panienko — jakby mleko wybiegło, to odstawcie ta.

— Dobrze, dobrze, odstawię.

Szarski z początku słuchał tego gwaru obojętnie, lecz później z nałogu zajrzał przez niedomknięte drzwi, żeby zobaczyć ową turystkę. Siedziała w spódniczce przy piecu i grzała bose, zziębnięte nogi. Twarzy nie widział, ale figurę miała zgrabną i nogi małe, jak u dziecka. Cofnął się zaraz, gdyż nie chciał, by spostrzegła, że jest obserwowaną.

— Co to za turystka? — spytał gaździny.

— Jako sie zwie? to mi wysło z głowy, alek wiedziała. Oza — oza — cudacznie jakoś.

— Urodna panna — jeno wicie chudziątko, — objaśnił gazda, niosąc bryłę świeżego sera owczego.

— Wicie go — urodna! juześ sie przypatrzył. A jako sie zwie, nie bacys?

— Ocy niebieskie, jako kwiatecki...

— Jedy nikt cie o to nie pyta, — krzyknęła gazdzina i pobiegła do izby.

— Przibacyłek sobie, jako jom wołajom — Basia!

— A nazwisko? — zapytał Szarski.

— Pockajcie — to wej bedzie — Basia Ożarowska.

Szarski roześmiał się i wrócił myślą do nieznanej turystki.

— Skąd ona jest? — rozmyślał paląc papierosa i dziwił się własnej ciekawości. — Czemu właściwie ona go tak interesuje?

Jednakże młoda dziewczyna zauważyła, że ją ktoś obserwuje, lecz narazie tak ją to zaskoczyło, że nie ruszyła się mimo, iż czuła na sobie spojrzenie intruza. Odczekała chwilę, a gdy się upewniła, że odszedł — wyjrzała przez uchylone drzwi. Czemu on ją podpatrywał? gniewało ją to, tem bardziej, bo była bosą, jak on mógł to zrobić! A najwięcej irytowało ją to, że bardzo wydał się jej sympatycznym, jakby znajomym. Gdzie ona go widziała? — dziwne ma wrażenie — coś bardzo jasnego, słonecznego łączy się ze wspomnieniem tej twarzy. Tak, napewno go gdzieś widziała.

Przemoczona koszula bardzo powoli parowała, lecz co było począć! Piła więc herbatę i czekała cierpliwie, siedząc na małym stołeczku przy otwartych drzwiczkach kuchenki. Trochę ją to bawiło, ale nareszcie zaczęła tracić cierpliwość. Nie dlatego, by się nudziła sama z sobą, lecz dlatego, że jej młoda dusza, ożywiona słońcem, wyrywała się na swobodę. Więc dla skrócenia czasu układała sobie plan wycieczki. Nie znała tu prawie nikogo i nikt jej nie znał — ach głupstwo! przyłączy się do któregokolwiek towarzystwa i pójdzie do Morskiego. Tak dawno tam nie była — coś ją ciągnęło — o doskonale wiedziała co — wspomnienia. Mimowoli wzdrygnęła się, przecież przeżyła tam przed dwoma laty ciężką chwilę — okłamano ją, z ufnością idącą do ludzi. Gorzej, bo mimo wszystko, mimo bólu zawiedzionego serca i zranionej miłości własnej, czuła, że parę chwil żyła cudnem złudzeniem. A potem — brutalnie uciekł, gdzieś, bez słowa pożegnania, odpychając serce, które się garnęło do niego!

O, pamięta, jak dziś przebudzenie i tę chwilę, gdy się dowiedziała, że on poszedł przed świtem na Węgry — z żoną. Łotr, jak on śmiał! Zerwała się oburzona — nieomal czuła gorące pocałunki i słyszała jego słowa. Podły, zdradzał żonę — oszukał ją, podstępnie wyłudził jej pierwszy w życiu pocałunek i odszedł. Nagle przeraziła się własnych myśli — nie to byłoby potworne — tego by nie przeżyła — czy on dlatego odszedł?! może przeraził

się, — ach żeby to można nie myśleć — żeby to można zagłuszyć się.

Czy ona go kochała? Tak pokochałaby go, ale on sam to zabił — i co najgorsze zatruł ją szałem pieszczoty; paliły ją te pocałunki — cierpiała nad samą sobą, lecz nie mogła zaprzeczyć — od tej chwili zmieniła się. Tak to straszne — tęskni za pieszczotą kogoś, bardzo kochanego, ale czyż to jej wina, że zbudzono w niej — prawie, że dziecku — kobietę, która całą duszą ukochać może! I nic tego zmienić nie zdoła. Od tego czasu straciła wiarę w ludzi — w uczucie, a jednak tęskni za rozwianem złudzeniem i wie doskonale, że jeśli teraz ktoś zbudzi w niej miłość, to nie będzie w stanie nawet ukryć tego — może stać się ofiarą własnej tęsknoty — może pójść za złudzeniem, nie licząc się z niczem — i zginie.

Cierpiała strasznie, walcząc ze wspomnieniami i z całą bezwzględnością analizowała się. Tak, napewno wie że szuka, oczekuje czegoś, co się stać może jej nieszczęściem. Co oni, stryjostwo, tam myślą o niej — ach Boże, jest pełnoletnią, może rozporządzać swoim majątkiem, a tembardziej sobą — zaśmiała się szyderczo. Wszystko mi jedno, broniła się — każdy żyje, jak może, jaki mu los padnie — jak musi.

Przekona się dziś w Morskiem Oku, czy to co przeżyła było uczuciem — czy...

Och, jak ludzie brudno patrzą i określają — to co jest siłą młodości i rwącego się serca. Temperament — nieznośne słowo, tak ma temperament, ale przedewszystkiem duszę szalejącą z tęsknoty za szczęściem.

Nagle wszystko zniknęło. Zatarło się. Nie mogła zebrać już myśli, które coś spłoszyło, w uszach jej dzwoni — ogarnia ją pustka. Jakiś nieznośny dźwięk — co to jest? Natarczywie się powtarza: czy można?

Co czy można? — Ktoś się o coś pyta — ale czego chce? Usiłuje zrozumieć — aż wreszcie oprzytomniała — to ktoś puka, chce wejść. Szybko okryła się gumowym płaszczem i z wysiłkiem, siląc się na swobodny ton, wymówiła — proszę.

Z pozorną obojętnością przyglądała się jak czegoś szukał — myślała: „jaki on nieznośny". Drażniła ją obecność tego obcego mężczyzny, który nie śpiesząc się, coś wyjmował z worka, paląc papierosa. Śledziła go uważnie — napewno go zna, ale gdzie go widziała? Po chwili odzyskała pewność siebie — i postanowiła przekonać się, jaki ma głos, może w ten sposób łatwiej przypomni go sobie.

— Przepraszam pana — ile godzin drogi ztąd do Morskiego Oka przez Zawrat?

Uprzejmie odpowiedział, z lekka zwracając się w jej stronę — a po chwili sam zapytał:

— Czy pani zna drogę?

— Nie, tędy nie szłam.

— To trzeba się przyłączyć do wycieczki, bo nie znając drogi, można się pomylić i zajść w turnie Kościelca.

Nie wiadomo, czemu rozgniewała ją ta odpowiedź — a zarazem zastanowiła się, co ją tak gniewa. Aha, czemu sam jej nie zaproponował swego towarzystwa — może nie śmiał? Przyjrzała mu się uważnie. O, nie, on poprostu nie chciał.

Nie, to nie. — Zaraz nadejdą ci, co ich minęła na Boczaniu, jest tam paru młodych turystów, a jeden sam jej proponował, żeby się do nich przyłączyła. Znała go, bo w tym samym mieszkał pensjonacie.

Szarski umyślnie wciąż czegoś szukał, obserwując młodą dziewczynę i namyślał się — zaproponować jej, czy nie? Nagle ogarnęło go zniechęcenie, zawiązał worek i wyszedł, zamknąwszy drzwi.

— —

Przed schroniskiem uwijało się już sporo wycieczkowiczów, sprzeczając się zawzięcie o jakieś racje. Nie był ich ciekaw Szarski zupełnie. Zamówił herbatę z rumem dla siebie i swego gazdy i omijając gwarne towarzystwo, zajął miejsce na wielkim złomie skalnym, gdzie go już oczekiwał stary Szymek. Z daleka uśmiechał się do niego i pokazywał coś szerokim ruchem ręki.

— Tenca wode pije! — bedzie pogoda, panie.

Gaździna z wielkim rozmachem ustawiała herbatę, przekąski, nalewała kieliszki rumu. Szarski podał kieliszek staruszkowi i zawołał wesoło:

— No, czyje zdrowie wypijemy, Szymku?

— Niek ze bedzie na scęście lo tej, co poszukuje światami. Bo wicie cłek cłeka suka — nańdzie, abo się ozminie. Pijcie panie — niek ze ta bedzie jako fce — jedy wam to nie wadzi nic — zakończył Szymek Tatar.

Roześmiał się i zanucił starą melodję, rozmarzało go słońce. Widać było, że z lubością grzeje się i cieszy go jasność promienna pogodnego dnia. Jedli w milczeniu, a od czasu do czasu zagadywał Szymek dowcipnie, czyniąc uwagi nad przybywającymi gośćmi.

— Hej raty, wicie ta młodka straśnie pilno patrzy ku wam. Znajoma — cy jako?

Szarski obejrzał się i zobaczył Basię Ożarowską, która nie zdążyła się odwrócić. Przez moment ich spojrzenia się spotkały.

— Nie znam jej, gazdo.

— No wicie — urodne dziewcze; ocy jasne, zwyrtna — nie znacie jom? Niegze ta bedzie, jako fce — gaździna by beła. Jeno jej cosi kajsi hybia — na dusy. Cłek okrutnie podany wicie — na dudławego smrecka, co kiel w gromadzie, to sie trzymie, a niek ostanie sam, to go seliniejakie kurniawy, a siompanice bijom, aze mu i na koniec holny dopuka do znaku i praśnie w przepaść — to wej tak wyhodzi: Cłek zyje jako fce, a śmierć przyhodzi i pyta się, wereda — pódziemy wraz? to wej cłek sie osata — ej raty, luto mu bedzie w tej kwili syckiego, co móg, a nie fciał, o haj!

Słońce zalewało całą halę potokami promieni. Lekkie mgły się podniosły z parujących głazów i skąpej murawy lekkim tumanem przesłaniając góry.

— Kaz pudziecie, panie, do Morskiego? — na Krzywania? — zapytał się Szymek, przysłaniając sobie oczy od słońca. Pyknął parę razy z fajeczki i mruknął z nieokreślonem znaczeniem, wskazując ręką na ścieżkę, biegnącą od Kop Królowych:

— Wicie, jako redykajom sie dołu — fajny kierdelik; młódki przodem idom — co wam powiem, to wam powiem — przystańcie

na bacę do nik! Honielników płonyk majom, a juhasy choćka i nie starszawe, uciechy nie bedom miały z nik nijakiej — głupie. Kieby beł młodsy, toby sie ku nim uzdajał, w portecki cyfrowane w cuhe bieluśką — do kapelusa piórko orłowe — poseł byk. Jeno wicie hyba — staryk. Krzypota me bije — to se ino popatrujem jako świat chodzi — kołem. Słonko po źlebak, a przepaściak hodzuje, gmy w kotłach sie wazom — cień za granią przywarował. Wej jasność słonecna po stawak idzie złocista — gmy sie przędom po smrekak — wiater huzia po halak — dzwonecki krówskie, a owieckie turlikają po upłazak. Sumią potoki, mielą kamieniami zbójnickie dukaty — aze bulgoce! — ciepło. Słonko bystre wyjechało nad Koszystom — poseł byh poseł. A tu starość — włosy ubieliła, coby było widno la ludzkich ocu, cok wyznacony na umarcie. Minena się młodość — minena w ocymnieniu — haj! — Coście tak osmentnieli? Ozmyślować bars dobrze kie wietek świeci nocką, jeno uwazujcie, co by holny wam potraconych myśli ze świata nie pozganiał, bo to dziadostwo kołuje wedle cłeka smutnego, jako listecki bukowe. Ej raty, banować nad zyciem, to nie worce — zycia! Skrony załości cłek się psuje na wnuku i syćko kiele niego kołuje, aze sam sie myślami zasuje do znaku.

Szarski machinalnie bawił się papierośnicą, bezmyślnie otwierał ją i zamykał; po chwili opanował roztargnienie i siląc się na spokój, zapytał z nienacka:

— A wy radzi jesteście z życia?

Smagła, rzeźbiona w ostre fałdy i zmarszczki twarz starego górala ożywiła się — podniósł brwi, popatrzył przez chwilę przed siebie i spokojnie, dzieląc słowa uważnie, odparł:

— Zycia kwalić nie bede, bo wicie, ono zawdy uzdajane do podoby. Zyłek wesoło, ślebodnie, jako mi wyhodziło z natury, jeno wicie, zawdy mierziło me, to co ludzie nazywają niescęściem. Okrutnie byłek naremny — wartki, to sie ta niescęście ukotwiło mi po kwili. Miałek babe fajnom, urośnionom z gazdowskiego rodu. Przisło takie powietrze — ostałek sie sam. Hodziłek po górak, a dolinak, — hałupa pusta. Świat mi odmieniło do znaku — ej raty. Przisła zima, kurniawy — aze skry sie sypały z ko-

mina na izbe, a cłek sam. Nockom gwiazdecki swiecom jako ocy zywe — a tuś sam. Cosi mi sie ukotwiło, co ktosi woła — płace — siełу me odesły, jeno myśli koło głowy jak kołujom, tak kołujom, jeno nie ubywało ik nic. To wej beło niescęście. Co sie nie robi, to sie nie robi, wracałek sie z madziarskiej strony — nocka mie zasła, nocowałek na Przysłupie Miętusim. No wicie odmieniło sie do znaku — juz ta Pan Jezus Przenojświentsy zlutował sie, cok nie beł sam. Moja baba, wiecie, od Miętusów. Zbielało mi to kobiecisko na słońcu bez teli karwas casu! — zaśmiał się i dodał: — Ano starość, jako starość — a jesce hoćka cujem, cok młody.

Koło nich zaczął się robić ruch; z początku nieznaczny, stłumiony zmęczeniem, lecz po chwili zapanował gwar młodych głosów. Dopiero teraz Szarski zauważył, że są pośród rojącego się mrowiska turystów i wycieczkowiczów, którzy nieskończonym szeregiem wciąż napływali na Halę. Gwar zmieniał się w istny szum wezbranego młodością życia. Śmiano się dookoła, żartowano, wyśmiewano wzajemnie i z ciekawością oglądano obwieszonych dziwnymi przyrządami i zwo ami sznurów turystów. Wsparci na błyskających srebrzyście czekanach, palili papierosy — z lekceważeniem patrząc na miejskie stroje młodzieży, która wesoło uwijała się koło paru młodych panien, zabawiając je opowiadaniem nieprawdopodobnych przygód. Co chwila słyszało się cytowane nazwy, zaczerpnięte nie tyle z praktyki, ile z przewodnika, który im dostarczał bogatego materjału, a że pamięć ludzka jest zawodną, często więc „Zamarła Turnia“ dziwnie blizko była spokrewnioną z „Pościelą Jasińskiego“, a poczciwy Młynarz cudownym wprost sposobem zmieniał miejsce i rozsiadł się wygodnie nad Podbańską, na miejscu opuszczonem przez Krywania, który wzrósł nagle do wysokości dwóch tysięcy sześciuset siedmdziesięciu metrów i zaczął rywalizować z Gerlachem.

Przyszłe turystki zanosiły się od śmiechu, to cichły nagle, jak gdyby zawstydzone, lecz po chwili znowu wesołość wracała rwącą falą, zwolniona z pęt konwenansów. Nawet turyści — stare doświadczone wygi tatrzańskie — raczyły się uśmiechać i ani się spostrzegli, jak rozpowici z metrowych zwojów sznurów

zasiedli, wesoło pijąc herbatę. Stracili trochę na charakterze zdobywców niedostępnych turni, lecz wzamian nie z mniejszą wprawą zdobywali sympatję miejskich panien, które nietylko okazały się dosyć dostępne, ale i hojne w darach młodzieńczej rozrzutności. — Lecz co to kogo obchodziło? — Cieszono się chwilą, czar gór zniszczył wszelkie zapory.

Szarski z Szymkiem Tatarem przypatrywali się z zajęciem, temu wirowi życia, który ich niespodziewanie otoczył, budząc różne myśli i refleksje. Pierwszy się ocknął Szymek, pyknął z fajeczki i ukazując ruchem głowy młodą, smukłą blondynkę z niebieskiemi oczami, objaśnił:

— Wej ta słabą ma głowę do zycia — zmęconą — ocy wicie, seroko patsą, a nie widzą — przepaść tu, a ona nic, jeno za myślami idzie utraconemi. Jej przewodnik młody — urośniony, jeno małego serca, mało wiele obacy ś nim idący. Jeno i to bacę daleko nie pódą ze sobą, — na kwilę. Ona, wicie, ozmyśluje światami.

Uwaga była słuszna, aż zadziwiająca trafnością określenia. Panna Ożarowska, gdyż ona to była, siedziała roztargniona, niewiele zwracając uwagi na towarzysza, który ją usiłował zabawiać.

Nagle rozległ się brzęk stłuczonej szklanki — jednocześnie ozwały się głosy — „to nic, to na szczęście“.

— O rety na świecie, ady nie wybijajcie syckiego skła! Kaz je kupie, od Kościelca? — krzyknęła gaździna. Szymek Tatar zmarszczył brwi i mruknął niechętnie: — głupie, bo głupie. Poprawił cuhę i wstał z kamienia. Był wprost wspaniały, trochę zgarbiony, z ostrymi, suchymi rysami twarzy, z lekko garbatym nosem; cała twarz jaśniała w słońcu, okolona białymi jak śnieg włosami. Stał i patrzył przez chwilę przed siebie, a wązkie usta lekko uśmiechały się bezgłośnie — kiwnął głową Szarskiemu — uścisnęli sobie ręce w milczeniu.

Dopiero teraz zauważono ich; przycichły rozmowy,

— Istny „Król Gór“, — odezwała się Basia do swego towarzysza, patrząc za odchodzącym starcem.

On zwolna wyminął głazy, na których ucztowała młodzież z nizinnych dolin. Przeszedł cicho nucąc jakąś dziwną melodję,

obojętny na wszystko — zamknął się w sobie mimo wiru życia, który go otaczał. Znać było, że zbudziły się myśli z dawnych lat, że on je chciał uleczyć słońcem — ciszą — może szumem rwących potoków. Zmęczył go gwar ludzki.

— —

Szarski odczuł dziwne osamotnienie, pozostawszy wśród rozbawionego towarzystwa. Miał uczucie starca, który się grzeje przy ognisku i któremu nie chce się wstać, by pójść w dalszą drogę. „Poszukaj se młódki!" — zadrwił sam z siebie, orjentując się, że to ucieczka przed samotnością.

Silniejszy hałas spłoszył mu smutne refleksje. Młodzież zaczęła się zbierać do drogi. Ktoś oponował przeciwko karkołomności Zawratu, inny udowadniał, że ma rację. Sprzeczano się o byle nazwę — znać było nerwowy nastrój przekory — podrażnioną ambicję własną.

— Co to są za „raki"? — zaśmiewała się młoda brunetka w granatowym kostjumie.

— Tak, to są raki — zapewniał najmłodszy z turystów, takim tonem szacunku dla samej nazwy, że odrazu każdy mógł się zorjentować, jak on marzy o chwili, gdy będzie mógł przypiąć tego zębatego potwora; marzył, jak giermek rycerski o złotych ostrogach — tęsknił do chwili pasowania na rycerza skalnego. Gwar znowu się wzmógł: to któryś z turystów zawadził w rozmowie o Żabiego Konia wywołując dyskusję, przeplataną szalonym śmiechem; i tak wciąż cisza i znowu gwar.

Wreszcie ruszono — długi barwny wąż ludzki wyciągnął się ze szczękiem okutych lasek i ciupag i zaczął się piąć zwolna pod górę. Szarski machinalnie prawie przyłączył się do nich. Minęli zbocze Małego Kościelca, przesunęli się po olbrzymim płacie zlodowaciałego śniegu — i znowu szli, potykając się na piargach. Czekany znikły, zstępowali ku Czarnemu Stawowi, lecz prowadzący wycieczkę postanowili wytrenować towarzystwo i minęli schronisko. Głośne rozmowy przycichły, czasem ktoś westchnął i szedł dalej, zdążając za nieubłaganymi przewodnikami, których czekany podzwaniały, cucąc otuchę wśród zmęczonej

drużyny. Ostatnim zamykającym pochód był wysoki brunet z panną Basią Ożarowską, która się przyłączyła do wycieczki. Ten pstry wąż ludzki wyciągał się, przerywał miejscami, to znowu łączył i pełzał niezmordowanie, okalając cichy, ciemno-szmaragdowy staw, który drgał dziwnymi błyskami fal. Szarski szedł na samym końcu; to zwalniał, to przyspieszał kroku w miarę tempa, które zmieniało się z powodu zbyt licznego i niezgranego towarzystwa „ceperskiej“ wycieczki. Czuł, że jest ogniwem tego łańcucha, lecz ogniwem, które w każdej chwili może oddzielić się. Myślał o tem, że jest jednak siła, która ludzi spaja, jednoczy, lecz wiedział i to, że może sam zerwać łączność z nimi, tak samo, jak stary gazda — lecz na razie było mu z tem dobrze. Chwilami dolatywały go urywane słowa rozmowy, to luźne bez związku, to jakiś fragment ludzkich myśli, często zacieranych umyślnie frazesem, a jeszcze częściej — śmiechem. Mijali schronisko.

— Panie Zygmuncie! szmaragd zatopiony, szmaragd! — zachwycała się Basia, przystając nad Czarnym Stawem, który w tem miejscu był szafirowy, ciemny, a bliżej brzegu, zawalonego złomami granitów, jaśniał seledynem, przechodzącym stopniowo w subtelną barwę jesiennych liści, nieomal złoto-różowy. O parę kroków od brzegu ku Kościelcowi łyskał ów zatopiony szmaragd przepysznym, tajemniczym tonem.

— Zapewniam panią, że to jest pudełko od sardynek.

— Ach, jaki pan nieznośny! Cóż mnie to obchodzi — szmaragd, cudny szmaragd — oburzała się zupełnie serjo, czuć było żal w głosie.

— To jest po prostu blaszka, która...

— Niech pan przestanie mi dokuczać.

— Ocho — pomyślał Szarski — jeśli ten realista będzie jej w ten sposób psuć złudzenia to przegra napewno.

Szli pewien czas w milczeniu.

— Panie, czy pan widzi motyla na stawie? ma takie cudne skrzydła, jak „paź królowej“ tylko węższe — no tam, w wodzie! nie, to okropne, pan nic nie widzi! Ależ tam pod Kościelcem. Jak można tak nic nie zauważyć.

Towarzysz jej zorjentował się wreszcie, że mówi o odbiciu się płaszczyzn śnieżnych, które łącznie z piargami i kępami kosówek dawały istotnie fantastyczną zjawę motyla, unoszącego się nad stawem.

— Jak będziemy tak wciąż przystawać za motylami i skarbami zatopionymi, to do Morskiego dziś nie dojdziemy.

— To znaczy, chciał pan powiedzieć, ja nie zajdę. Być może, lecz pana nie narażę na podobną przykrość i zwalniam — z urojonego zresztą — obowiązku towarzyszenia mi. — Tak, proszę pana, zupełnie serjo to mówię.

Sytuacja była trudną do wybrnięcia. Nieszczęsny turysta klął napewno w duchu wszystkie skarby Tatr i symboliczne motyle, gdyż wydała mu się teraz jeszcze ładniejszą mimo tych dziecinnych zachwytów, godnych zwarjowanego literata lub krańcowego futurysty. Postanowił się widać zemścić, gdyż po chwili, pokazując na odległą jakąś turnię, zapytał niby pojednawczo:

— A czy pani widzi tam starca? podobny do Wernyhory.

Ona odwróciła się w tę stronę, lecz odrazu orjentując się, odcięła:

— Nie panie, ale trochę poniżej widzę wyraźnie barana.

— No, no — myślał Szarski — trochę może za ostro, ale po mistrzowsku.

Rzeczywiście taternik zrozumiał i chcąc osłabić wrażenie dla samego siebie przykre i kłopotliwe, zaczął coś dowodzić o trudościach terenu. Tłumaczył to w bardzo zawiły sposób, sądząc, że jakoś zła chwila przeminie; lecz zawiódł się, nie otrzymał ani słowa odpowiedzi.

Czekany idących przodem turystów łysnęły w słońcu i orszak zwolna zatrzymał się na odpoczynek. Byli pod samym Zawratem.

Zmarzły Staw zawalony był śniegiem i spękanemi taflami lodu, który zieleniał, to błękitniał kryształowo na tle ciemnych, aż granatowych rozlewisk, ziejących głębią chłodnej, nieruchomej wody.

Od Pięciu Stawów huknęło echo, powtarzając ostatnią zwrotkę góralskiej śpiewki:

„Poniehaj, poniehaj, ale ci bedzie zol,
Takiej kohanecki nigda nie bedzies mioł"[1]).

— Ależ wyje! — odezwał się rozdrażniony własnemi reflekcjami turysta.

— Wręcz przeciwnie sądzę — ciekawy śpiew; dużo w nim tęsknoty i charakteru — protestowała panna Basia Ożarowska.

— Czyż tak? o ile mnie pamięć nie myli, to nie są oryginalne słowa góralskie. A pani się podobają? No zresztą, mając dużo bujnej wyobraźni, można nawet na lodzie budować zamki.

Zacięła usta, siląc się na spokój; powieki jej drgnęły, jak dziecku, co się powstrzymuje od płaczu — zapanowała — tylko lekki rumieniec przemknął, jak błysk światła po smagłej twarzy dziewczyny i patrząc z dziwnym wyrazem prosto w oczy młodego człowieka, spokojnie, podkreślając znacząco słowa powiedziała:

— Co do mojej wyobraźni to słabe pan ma o niej pojęcie, będąc tego daru zupełnie pozbawionym. A zamki na lodzie to napewno nie ja, ale pan lubi stawiać i dziwię się, że będąc przekonanym o nietrwałości tychże stale pan próbuje coś zbudować, mimo, że już przy zakładaniu fundamentów następuje katastrofa. Czy pan mnie zrozumiał? Zresztą jest mi to obojętne; tylko zaznaczam, że nie chcę utrudzać pana pomocą na Zawracie, więc może pan będzie łaskaw pomóc komuś mniej wprawnemu w pokonywaniu nierówności terenu i objaśniać w miarę potrzeby o znaczeniu klamer i łańcuchów — zakończyła twardo.

Odwróciła się od niego i siadłszy na złomie skalnym zapatrzyła się przed siebie. Czasami mrużyła powieki, jak gdyby raziło ją słońce. Ładna była bardzo o śmiało zarysowanych łukach brwi, które miała prawie ciemno-bronzowe.

Szarski, który był mimowolnym świadkiem całego zajścia, udawał, że nic nie słyszał i o niczem nie wie; siadł w pobliżu i napozór obojętnie zapalił papierosa. — Co ona teraz zrobi? — myślał — dała mu taką odprawę, że wątpię, by zechciałby jej nadal asystować. Czy pójdzie sama, czy też przyłączy się do reszty towarzystwa? Starał się przypomnieć sobie, czy na hali była sama, czy też był tam ktoś z jej znajomych. Tak był zajętym tą myślą, chcąc koniecznie uprzytomnić sobie wszystkie okoliczności, w których ją poznał, że nie zauważył, jak wąż ludzki

wyruszył ku klamrom, pełznąc po skałach, oddalał się coraz bardziej. Nagle nie wiadomo na mocy jakich skojarzeń myślowych doszedł do wniosku, że nietylko była sama, ale że ją już gdzieś przedtem widział. Odetchnął z uczuciem ulgi, a jednocześnie z zadowoleniem przekonał się, spojrzawszy w jej stronę, że siedzi tak samo zapatrzona przed siebie, jak przedtem. — Jak tu zrobić — myślał — czy wprost zaproponować jej swoje towarzystwo, czy też czekać, aż sama pójdzie pierwsza i podążyć nieznacznie za nią.

W każdym bądź razie był zdecydowanym towarzyszyć jej, gdyby nawet chciała wrócić z powrotem na Halę Gąsienicową. — Ciekawa dziewczyna, skąd ona pochodzi? — zastanawiał się, aż wreszcie z ulgą zdecydował, że to czupurne „coś" musi być ze wsi. Nasuwały mu się co do tego pewne wątpliwości, lecz obronił się tem łatwiej, gdyż sam pragnął, żeby owe „coś" było z pól i lasów, a nie murów miejskich.

Po dłuższym czasie postanowił ruszyć się samemu, że idzie niby na Zawrat, aby w ten sposób się przekonać, czy chce być samą, czy też jest wyczerpana wrażeniami i niezdolna do dalszej drogi.

— Jeśli zna Zawrat to pójdzie za mną albo nawet odczeka, a jeśli nie, to odrazu też wyruszy, aby nie zostać samą przy Zmarzłym Stawie. Mimo, że przypuszczenia jego były trafne, jednak stało się inaczej. Nagle usłyszał dźwięczny głos z odcieniem lekkiego zdenerwowania:

— Przepraszam pana, czy pan do Morskiego?

Zaskoczyło go to proste pytanie i bez namysłu odparł:

— Doprawdy, że sam nie wiem, — może wrócę na halę. — A pani?

— Ja muszę wrócić, choć chciałam być w Morskiem Oku, ale jestem zmęczona bardzo — i tak mi przykro, bo zupełnie nie orjentuję się w górach.

— To nic, gorzej byłoby, gdyby pani sama została. Choć coprawda to i tak by pani trafiła z powrotem.

— Nie, nie trafiłabym.

Tak go rozbroiła ta odpowiedź, że postanowił być szczerym. Podszedł do niej i kłaniając się, poważnie i z namysłem powiedział:

— Pozwoli pani, że się przedstawię? Szarski.

Ona wymieniła swoje nazwisko i z wielkim wdziękiem i prostotą podała mu rękę.

— Przyznam się pani, że umyślnie zostałem, gdyż zauważyłem — et, co tu mówić! może ja będę lepszym przewodnikiem, bo nietylko, że nie posprzeczamy się o motyla, ale pokażę pani tuż przed nim dziwo-rybę — o ile staw będzie cichy.

Zmarszczyła brwi, lecz milczała.

— Niech się pani nie oburza na mnie, gdyż przyznaję się otwarcie do wszystkiego. Byłem mimowolnym sekundantem pani — i to właśnie mnie powstrzymało — zostałem, myśląc jakby tu zastąpić niefortunnego przewodnika. Bo gdyby „Król Gór" nie był odszedł, to bym go pani mógł śmiało polecić — ten stary góral, mój model, Szymek Tatar.

— Czy pan zawsze prawdę mówi?

— Nie, nie zawsze.

— A teraz?

— Pół prawdy powiedziałem; a pół namyślam się czy powiedzieć.

— To szkoda, bo ja czuję, że pan coś ukrywa i doprawdy, że mi przykro — bardzo przykro.

— A więc powiem i tę drugą połowę. Siedziałem z „Królem Gór", jak go pani nazwała, — i zaciekawił mnie jeden dziwny człowiek, a drugi mocno mi się nie podobał, a nawet irytował. I dziwiłem się, że dwoje tak odmiennych ludzi może pójdzie razem — a już nie moja w tem wina, że ten pierwszy dziwny — — to pani, a ten drugi to przygodny turysta-przewodnik. Oto cała prawda.

— To cała prawda?

— Zdaje mi się że cała — no i ten motyl — i te zamki na lodzie tak niespodziewanie zburzone przez panią...

— Co pan myśli wtedy, gdy tak patrzy, jak teraz?

— Mógłbym nie odpowiedzieć pani na to pytanie, ale odpowiem. Ucieszyłem się, że pani jest taką, jaką jest — to znaczy, że...

Przez moment po jej twarzy przeleciał prawie nieuchwytny cień smutku, lecz niespodziewanie roześmiała się do własnych myśli.

— Czy pan wie co myślę teraz?

— Ma pani ochotę zaproponować mi zabawę w ślepą babkę, albo chowanego. Teren cudowny i odpowiedni czas po temu.

— O — o, jaki pan złośliwy!

— A czyż tak nie jest? proszę się przyznać.

— Niezupełnie, bo śmiałam się z siebie. Przez moment wydawało mi się, że jestem zaklętą królewną, którą prześladuje smok o wielu głowach. Co utnę jednę, to on zmienia się w inną postać. — Najpierw był góralem, na Skupniowym Upłazie spotkałam juhasa, który mi ofiarował swoje towarzystwo; potem zmienił się w taternika, a teraz w jeszcze coś dziwniejszego.

— Jak widzę, to jestem tą trzecią osobą smoka i smutny mnie los spotkać może — szach i moja głowa potoczy się do Czarnego Stawu.

Zaśmieli się oboje.

— Więc właściwie moja rola jest godna pożałowania, jak wogóle każdego fantastycznego smoka, któremu los przeznaczył strzec królewnę.

— Czy pan umie opowiadać bajki?

— Jak dotąd nie umiałem, bo nigdy mi się nie zdarzyło zabawiać dzieci; zresztą to stary system używany do rozbudzania fantazji.

— Brzydki ma pan charakter!

— Jak każdy smok.

— Radzę być ostrożnym ze mną, bo inaczej źle będzie z panem. — Gdzie jest ta ryba? jeśli jej nie zobaczę, to zemsta moja będzie straszna.

— Wiem coś o tem — zaśmiał się Szarski, przypominając sobie o kamiennym baranie.

Schodzili nad staw — od ciemnych wód wionęły lekkie, zwiewne mgły, pełznąc po turniach.

— Panie, gdzie jest dziwo-ryba?

— Niema jej; ale i motyl uciekł, widać przed nocą.

— Smok mi zato odpokutuje.

— A cóż ja jestem winien? że ryba połknęła motyla i znurkowała z nim pod Kościelec.

— Widział pan ten szmaragd zatopiony?

— Widziałem. A jest tam cały skarbiec zaklęty: jak tylko ktoś chce sięgnąć po drogie kamienie, to zaraz zamieniają się w zwykłe pudełka od konserw i sardynek — a gdy zniechęcony i rozczarowany poszukiwacz skarbów tatrzańskich rzuci je w staw, to znowu błysną szmaragdy.

— Ej panie!

— Jakto, taką cudowną bajkę opowiadam, a pani mi grozi! Co za niewdzięczność — żadnej już bajki teraz nie opowiem.

— A jeśli ja bardzo prosić będę? to pan opowie. Dam panu szmaragd w nagrodę.

— Czy ten? — spytał niby swobodnie Szarski, pokazując na pierścionek, który miała na palcu; śliczny kamień skrzył się jak kropla rosy w słońcu, siejąc promieniami zielonych iskierek. — Czy ten z pod Kościelca?

— Ten, na który pan zasłuży — odpowiedziała natychmiast — i niewiadomo czy słońce padło jej na twarz różowym blaskiem, czy to był lekki rumieniec zakłopotania. Szarski sposępniał nagle — cały tłum myśli go otoczył — istny tuman wrażeń. Czuł tylko wyraźnie, że i ona też usiłuje zdać sobie sprawę z tego, co stwarza ten nastrój dziwny.

— O czem pan tak myśli?

— O szmaragdzie, proszę pani.

— O tym z pod Kościelca? — czy o tym? — pokazała swój pierścionek — prawda jaki ładny?

— Śliczny. Dawno go pani ma?

— O bardzo dawno; to pamiątka od babuni.

— To się cieszę!

— Z czego się pan cieszy?

— Że się nie zmienia, tylko zawsze jest taki, jaki był.

Udała, że nie rozumie aluzji. Nagle przyszło jej do głowy wybadać go, gdyż miała wciąż to dziwne wrażenie, że gdzieś go już widziała.

— Co pan robił dwa lata temu przy Morskiem Oku?

Szarski zaczął sobie sumiennie przypominać:

— Dwa lata temu? w lecie? — to zdaje mi się malowałem wtedy „Gasnącą Tęczę".

— I co więcej?

— To co i wszyscy. Trochę się włóczyłem nad Morskiem — malowałem nad Czarnym Stawem...

— Ach malowałem i malowałem! — co pan myślał? — poco pan tam przyszedł?

— A to zupełnie co innego. Poco? — zapewne poto, żeby odpocząć od gwaru ludzkiego. A zresztą, bo ja wiem! toż to tak dawno — nie pamiętam.

— O jak pan teraz szkaradnie skłamał!

— Nie skłamałem, lecz sądzę, że i pani na podobne pytanie nie odpowiedziałaby inaczej.

— Skąd pan wie?

— Tak przypuszczam.

— To się pan myli — odpowiedziała, czując, że wprost wywołuje pytanie.

Szarski jednak nie zapytał — uśmiechnął się i napozór swobodnie zaczął mówić, z wolna postępując obok niej.

— Pani lubi bajki, więc opowiem bajkę, która może nią być, lub nie, zależy jak kto będzie wolał.

— Kto zna górskie jeziora to zapewne zwrócił uwagę, że są i tak zwane martwe. Ani ptak się tam nie gnieździ — czasem tylko zbłądzi przelotem. Ani ryba srebrną łuską nie błyśnie na fali zamarłego jeziora. W zwierciadle jego przeczystej wody turnice dumne przezierają się w cichy dzień pogodny.

Mimo swej głębi jest przezroczyste i brzegami dno widać. A na dnie, jak bezcenne kamienie, błyszczą złomy skał zbutwiałych rubinowym, to znowu seledynowo-szmaragdowym błyskiem.

Wszystkie przedmioty przez jezioro pochłonięte widoczne są na dnie wyraźnie w przezroczystej wodzie.

Lecz w samą głębinę martwego jeziora nikt nie sięgnie, ani myśl ludzka go nie zbada — bo jest bezdenne.

Dziwną jest martwota takiego jeziora, bo i wtedy, gdy wiatrem sfalowane skrzy się w promieniach słońca, uderza nas jego odrębność. Ono ma coś z cichej bezszelestnej pustki, jest cudne, lecz jakaś obojętność i chłód wieje z tej toni rozedrganej w słońcu.

Zwracam uwagę, że nawet, gdy huragan zmąci fal rytmiczną kolejność martwego jeziora, ono nie utraci swego charakteru; da tylko wierny obraz — odbicie huraganu. I jeszcze jedną czarodziejską ma własność, że nietylko pochłania rumowisko głazów, zmieniając je w skarb zaklęty, ale i myśli — pragnienia ludzkie i smutek i ból — i radość życia. — Stąd gromadzą tam się nieprzebrane skarby, z których nie każdy umie i może czerpać, ale jeżeli umie —

— To co, panie, to co wtedy?

— To może znaleźć szczęście — w zapomnieniu. Może uleczony pójść dalej przez życie, bo cały świat mu się zapełni cudami, których nikt wyczerpać nigdy nie zdoła. Tak, właśnie dlatego tam byłem, bo mnie okradli ludzie ze złudzeń. Więc poszedłem zaczerpnąć trochę z zaklętego skarbca na dalszą wędrówkę i dziś znowu iść chciałem; bo człowiek, widzi pani, jest strasznie nieopatrznym utracjuszem. Ale może już nie pójdę —

— No, dziś napewno, — bo ja nie puszczę. Po pierwsze nie chcę być sama pośród tych cudnych skał, bobym zbłądziła, a następnie, — pewną jestem, że pan ma jeszcze ich trochę zaoszczędzonych na czarną godzinę — i chcę usłyszeć dużo bajek. Pan nie ma pojęcia, jak ja szalenie lubię bajki — szalenie! — Ale nad czem pan tak rozmyśla! — proszę mi powiedzieć, ale odrazu bez namysłu.

— Myślę o szmaragdzie.

Udała, że rozumie o którym mówi.

— Ach przepyszny jest! Musi mi pan pokazać i rubiny — dobrze?

— Czy pani wie? że ja panią sobie teraz przypominam — znamy się i to nietylko z widzenia!

— Tak, poznaliśmy się dwa lata temu przy Morskiem Oku.

— To ciekawe.

— Co?

— Że spotkaliśmy się na drodze do Morskiego i że przeszkodziła mi pani —

— Ja panu przeszkodziłam?! To raczej pan jest winien temu; bo proszę tylko zastanowić się: jestem sama na hali, szukam przewodnika, aż wreszcie z rozpaczy decyduję się na tego nieznajomego prawie realistę, który nic nie widzi przed sobą — a dobry znajomy boi się podejść do mnie i zaproponować mi swą pomoc — i jeszcze teraz spędza na mnie, że nie jest tam, gdzie miał być! A przecież pan szedł właściwie bez planu?

— Co to, to już się nie zgadzam — bronił się wzruszony Szarski — miałem plan: opiekowałem się panią z daleka, zdecydowawszy, że zły uczyniła pani wybór — postanowiłem być w pobliżu, by oszczędzić pani rozczarowania.

— Tak, a teraz naraża mnie pan jeszcze na coś gorszego — proszę tylko posłuchać: Młoda panna idzie na wycieczkę, nagle spotyka kogoś, rzuca całe towarzystwo i zostaje się z tym kimś. Jestem pewną, bo znam ludzi, że w oczach opinji jestem zgubioną raz na zawsze. A pan co? Czy pan ponosi jakie konsekwencje naszego spotkania? — mówiła to tak serdecznym tonem, że wprost zmieszał się i nie wiedział co począć.

— O, to nie wszystko, mój panie! Teraz jest już późno, ja jestem zmęczona, a na Halę Gąsiennicową nie pójdę za nic na świecie. Więc co pozostaje? zanocować sam na sam ze smokiem? Ręczę, że jestem odważniejszą od wszystkich zaczarowanych królewien całego świata. I cóż pan ma na swoję obronę?

— Mam. Zrezygnowałem ze wszystkich skarbów Morskiego Oka — i narażam się na niepewny los przewodnika królewny. Czy to nie szalone ryzyko z mej strony?

— Ciekawam jakie! Tam są rubiny, a tu szmaragdy, tylko ręką sięgnąć.

— O! bardzo przepraszam, to nie jest ściśle powiedziane: tam są opale, rubiny i inne cudowne kamienie, a tu wiem tylko o jednym szmaragdzie.

— Mój smoku, nie bądź tak pedantycznym, zresztą jest ich więcej, tylko...

— Tylko co?

— Tylko — są zaczarowane — tak. A teraz proszę mnie nie nudzić swymi żalami, bo to cecha słabego charakteru spędzać wspólne winy na kogoś — i proszę o bajkę.

— A jeśli nie opowiem, to co?

— To się rozstaniemy i będzie jak w bajce — no proszę wybierać!

— Już wybrałem.

— Co?

— Cóż może wybrać smok będący na jej usługach? — bajkę.

— O nie tak to łatwo: bajka musi być smutna, prawdziwa i dobrze się kończyć.

— Ano, cóż począć westchnął Szarski, siadając obok niej, tuż nad stawem na olbrzymim złomie granitu.

Ostatnie promienie słońca zapalały rubinowo-złote blaski na turniach, nad stawem unosiła się lekka mgła. Spojrzał przelotnie na nią i zauważył, że ma silne rumieńce — cudna była ta jego królewna. Jakaś myśl smutna wypełzła, lecz zniknęła pod wpływem jej uśmiechu. Zapalił więc papierosa i tak zaczął:

— W dalekiej, a blizkiej krainie żył sobie dziwny chłopczyk. — Miał serce rubinowe, które mu było jego przyjacielem — serce rubinowe, jak wogóle każdy, może trochę odmiennie, może bardziej gorące — wraźliwe.

Był młodym chłopięciem — smutek znał tylko z opowiadań niani, a łzy widział na płatkach róży purpurowej, gdy ze snu zbudzona płakała z żalu za pierzchłem marzeniem.

Bawił się w promieniach wiosennego słońca, co mu złociło pełną rojeń główkę, łowił w swej nieświadomości ten promień złoty, lecz mu uciekał — ginął. Zapłakał, że nie może uchwycić złotego promyka — ból poznał.

W parę lat później spotkał go cięższy cios.

Przy drogach rozstajnych stała stara wierzba omszała — pochylona, to była jego pierwsza przyjaciółka. Pewnego razu przyszedł i zastał ją zrąbaną — leżała martwa — —

Tu głos mu się załamał; wspomnienia wszystkie odżyły z nadzwyczajną wyrazistością. Spojrzał na Basię, patrzyła przed siebie szeroko rozwartemi oczyma, jak dziecko słuchające bajki. Gdy przerwał cicho szepnęła:

— I co dalej?

— Dlaczego ją zrąbano, dlaczego? — pytał się wszystkich i płakał. Wuj mu powiedział, że była stara, nieużyteczna. Posmutniał i miał zawsze potem żal do wuja, bo on tak ją kochał, była taka dobra, cierpliwa, słuchała jego tajemnic i szumem do snu go tuliła, szepcąc bajki. Jeszcze dziś we śnie ją widzi i szumu słyszy odgłosy.

Przerwał na chwilę.

Minęło lat wiele, zmężniał, zmienił się, lecz serce miał tak samo czułe i młode jak przed laty; był teraz starszy — wiele już widział i słyszał. Dawniej znał tylko pieśni wieczorne zasypiających pól, teraz już poznał ostry dźwięk — pieniędzy, ich siłę i potęgę.

O tak, bo za pieniądze kupowano łzy — prawdziwe łzy — i serca ludzkie — chciano nawet kupić „szczęście", lecz podobno, że to się jakoś nie udawało, bo nikt go nie znał.

To dziwne! „szczęścia" nikt nie znał, a kupić go chciano.

Postanowił szukać — biedny, łudził się, że pozna je po serca własnego biciu — serce przecież odczuje.

Szukał długo, lecz nigdzie znaleźć nie mógł. Ludzie się śmieli i tłumaczyli mu, że „szczęście" to złoto — dużo, dużo złota.

Lecz nietylko to ich dziwiło, o nie; oto on, kochając rubinowy wschód słońca, szafiry i opale mgieł, poszumy wiatru tułacza — chciał je zatrzymać — ująć w formę, w barwy — malował.

Krzyknęli jedni, że głupi — drudzy, że ma talent; tak jedni, jak drudzy mieli rację. Z początku myślał, że to „szczęście", lecz

przekonał się, że to był tylko smutek. Zżył się z nim i stał się smutniejszym — podobno coraz lepiej malował.

Lecz raz mu serce zabiło — zdziwił się — zabiło na widok pięknej kobiety, z dużemi czarnemi oczyma.

Poszedł więc za nią — droga była długa, szedł po ścieżkach smutku, aż stanął nad krawędzią przepaści głębokiej i ciemnej — a zwą tę otchłań Rozpaczą.

Ona mu gdzieś zniknęła, a on runął w przepaść. Lecz Bóg zlitował się, nie pochłonęła go, bo się zatrzymał na jakimś odłamku pamięci — ocalał. Wróciwszy do przytomności, odnalazł krętą i wyboistą drogę sztuki; nie znał jej dobrze, zaczął błądzić, szukał, by dość do szczytu, lecz ciągle napotykał przeszkody utrudniające mu drogę.: były to głazy obojętności, oszczerstwa, fałszu; trzeba było wiele wysiłku i pracy, by je zrzucić w otchłań zapomnienia, lub z drogi usunąć.

Zmęczył się i zwątpił w swoje siły, a pomocy znaleźć nie mógł. Śmiano się znowu — mówiono mu, że jest naiwny, że to droga daleka i niepewna. Pomóc mu nikt nie chciał, bano się, by ich głazy nie zasypały, wraz z nim, rumowiskiem. To było jeszcze nic, lecz ktoś mu krzyknął: „Słuchaj, wróć się po złoto — ono wszystko usunie — ułatwi“.

Usłuchał — zaczął handlować swą myślą — duszą.

Płacono marnie, narzekano że smutna, nieciekawa.

Zapłakał...

Tu nastąpiło powodzenie. Ktoś poradził mu, żeby sprzedał łzy, zgodził się, bo cena była wysoka, a za złoto miał przecież dojść do celu. Więc jeden pan, ot taki sobie zwykły człowiek, co to zamiast serca ma jedynie pełen pugilares banknotów — dał mu ich trochę. Zdziwił się: były napewno splamione łzami i pomięte, jak gdyby gwałtem wydarte. Odtąd znienawidził pieniądze i starał się tylko o nie o tyle, by wobec ludzi być człowiewiekiem „z wartością“.

Szedł coraz wolniej, upadał na siłach, zaczął szukać śmierci, lecz ta omijała go — czasem tylko, przechodząc mimo niego, zajrzała mu w oczy i poszła.

Usiadł więc i czekał; mijały go tłumy, błądząc po ścieżkach życia, dzwoniąc złotem, lub bawiąc się banknotami. Zdawało im się, że byli „szczęśliwi". On ich nie rozumiał, a oni jego — zaczął pogardzać nimi, a oni się śmieli. Naraz zrozumiał: oni nie mieli serca, bo zmarniało — zgłuszone brzękiem „szczęścio-dajnej monety".

Raz gdy zaprotestował — zakrzyknęli go: „Pieniądz to wszystko!!" — „Nawet „szczęście" możesz sobie kupić".

Zastanowił się; jak to? więc on może być bogatym, bo przecież ludzie za uśmiech więcej płacą, niż za łzy; on mógłby im dać wzamian za złoto ten uśmiech tak przez nich ceniony.

Chciał im dać uśmiech czysty, jak zorza poranna, lecz go nie chcieli, bo był smutny, wybladły.

A łez już im dać nie mógł, nie chciał, bo te Bogu poświęcił — na ofiarę.

Miał jeszcze miljony wspomnień, lecz te nie miały dla nich żadnej wartości, a przytem wraz z sercem stanowiły jego jedyne bogactwo — więc dalej poszedł błądzić za szczęściem — i tak dotąd błądzi — zakończył Szarski, starając się o spokój i swobodę.

Ona przez chwilę siedziała bez ruchu, potem spokojnie zapytała:

— Czy to koniec tej cudnej bajki?

— Tak, koniec.

— Pan nie dotrzymał jednego z warunków, no i co teraz będzie? — ciągnęła uśmiechając się — a prosiłam, żeby był dobry koniec — mówiła, bawiąc się pierścionkiem, który trzymała na końcu palca nad wodą. Rozległ się cichy plusk i cudny szmaragd wpadł do stawu.

Szarski omal nie krzyknął, lecz jakiś kurcz chwycił go za gardło, nie mógł wymówić ani słowa. Przyklęknął nad wodą i przez chwilę szukał po omacku — aż wreszcie znalazł — ogarnął go istny szał radości — przez chwilę wpatrywał się w odzyskany pierścionek, a później podał go.

— A mówiłam, że bajka musi mieć dobry koniec! Niechże pan sobie teraz weźmie ten szmaragd — ze stawu.

On zbladł — zrozumiał.

— Już nie będzie błądzić za szczęściem, czy smok słyszy? — szepnęła.

Słyszał doskonale, tylko — tchu mu brakło.

Nad stawem zajaśniał księżyc — staw ciemniał wód martwotą. Nagle mgły się rozwiały i oboje wykrzyknęli:

— Jest motyl!

— Jest ryba!

Tak szczęście czasem zmienia ludzi w dzieci, dla których cały świat jest pełen cudów.

Zakopane 1918. — Fałków 24. XII. 1922.

IV.

WIATR HALNY



WIATR HALNY

Głuchy łomot walących się smreków, trzask łamanych gałęzi, przeraźliwy świst wdzierającego się w bór wiatru, tworzył tak potworny chaos, jakby się świat miał skończyć.

Stuletnie drzewa gięły się, bijąc pokłony halnemu, niby pokornie, a jednak broniły się z całej mocy zczepione potężnymi konarami ze sobą. Ogarniały sękatemi ramionami młodzież leśną, która szalała, przerażona potęgą mocarza, wijąc się w śmiertelnej walce.

Halny parł z całą siłą, szamotał smrekami, wczepiał się w korony zwartych szeregów drzew. Rwał je, giął — usiłując rozplątać ramiona starców.

Martwe światło księżyca pełzało wśród cieni, srebrząc się na liściach paproci, oślizgało po pniach zwalonych smreków — to gasło w pomroce.

Cienie snuły się ruchliwe, jak węże, splatały się, przewalając potwornemi cielskami przez siebie, tworząc istny węzeł oplątujący padłe w walce z huraganem drzewa. A one odrywały potężne ramiona, jakby szukając ratunku; inne leżały bezwładne, strzaskane, na poły rozdarte, jakby piorunem rażone — martwe.

Nastała chwila ciszy.

Znużony rozpaczliwym oporem las dygotał, szepcąc zrazu głośno, zgiełkliwie, potem coraz ciszej — tajemniczo.

Trwało to krócej niż myśl może odszukać dzień, w którym zginął smutek — dzień cichego szczęścia.

I znów halny nadciągał z całą potęgą. Na razie liczył, śmiejąc się szyderczo, czoła co dumniejszych smreków, to cichł, zastanawiał się, zbierał w sobie. Zamilkł — ustał zupełnie.

Aż wreszcie runął, rwąc i druzgocąc, łamał dumne, wyrywał i ciskał w przepaść smreki, czyniąc wyłom. Już zawładnął i straszliwe siał dokoła spusztoszenie; setki pni waliło się, z hukiem, piętrząc się bezwładnie — tworzyły istny labirynt dziwnie złączonych z sobą konarów, splątanych korzeni, które wiły się dokoła, jak macki potwornych polipów.

Pozornie bez przyczyny powalone drzewa pełzły na swych korzeniach. Sunąc w dół po zboczu garnęły rozpaczliwie swemi ramionami wyłamanych konarów całe pęki paproci, darń, kępy mchu — i ryjąc głębokie bruzdy czepiały się głazów, a pchane przemożną potęgą halnego, waliły się bezwładnie, zrzucane w przepaść — hen aż na dno kamienistego potoku, który pienił, uciekał w doliny.

W taką to noc straszliwą zniszczenia wyły psy, tuląc się po pod ściany szałasów, a juhasi ze snu zbudzeni, wyglądali do pola, klnąc: „cyk sie dyasek obwiesił a bo co?!“ Od szop krówskich, a szałasów rozsiadłych po Małej Łące turlikały dzwoneczki i bimbadła.

Dolina spała snem niespokojnym, przerywanym nagle hurgotem, a świstem halnego, co tłukł się, szalał, płakał ludzkimi głosami, zawodził jak dziecko, to wył przeraźliwie, dziko.

Szła burza wichury nad halami, pędząc po ciemnym niebie kłębowisko chmur.

Szałasy ciemną sylwetą czerniły się tu i owdzie, łyskając ogniskami, osnute srebrzystym dymem, co się wił i tułał, — to nikł nagle bez śladu.

W jednym z szałasów siedziała stara góralka i trzęsącą ręką zbierała pomięte karty, kreśląc po nich palcem jakieś dziwne znaki. Nikłe światło woskowego stoczka oślizgało się po jej wąskich ustach i ostro zarysowanej brodzie; oczy i czoło przysłaniał cień. Poza nią paliła się watra; czerwone płomienie pełzały, jak krwawe węże wokół miedzianego kociołka, zawieszonego na limbowym konarze, zwanym „jadwigą“.

— Ka idzies, Ulka? jedy noc. Powietse hucy, co raty. Legnij spać na sope, nie wyrobis ś tem nic! — mamrotała starucha „ciotką“ przezywana. Sławę miała ogromną, jako wróżbiarka; wszyscy się jej bali, gdyż głucha wieść szła o niej, że „z cartem cosi kajsi wycynia“. Nikt nie wiedział skąd pochodzi — jedni mówili, że z Kralowany, Inni, że z Zaru; zarówno jej pochodzenie, jak i sztuka wróżenia z kart pozostała tajemnicą. Swego czasu Kuba Pająk pokropił ją święconą wodą, to „tońcyła, pryhała, jak kot“ — opowiadał, śmiejąc się.

Włóczyła się po halach i nigdy jakoś z próżnemi rękami nie wracała, jeno juhaski od tego wróżenia ganiały, jak „kołowate owce“, a niejeden juhas miasto na szopie u swej „freirki“, przespał noc pod wykrotem w lesie, bo na bacówkę hańbił się wracać. Klęli też staruchę i odgrażali się, ale żaden na tyle nie dośmielił się, by się zemścić na „ciotce“.

— Cóż ci odpedział Bóg z tego drewnianego słupa? Wspomoże cię, cy jako? — zagadnęła ciotka, zwracając się ku młodej juhasce, której przed chwilą wróżyła.

Ulisia milczała zamyślona. Odruchowo poprawiła łańcuszek na szyi, na którym wisiał mały krzyżyk.

— Praśnij to w ogień!

— Nie kcem tego! On syćko widzi. Bez coz Mu na despekt cynić! — jedy On Bóg najstarszy nad syćkiemi bogami — najwładniejszy.

— To se go pytaj, kie ci taki dobry.

— E raty!, pytałali go, jeno ś tego nie wysło nic!

— Nie fciał! Jedy boś głupio! On ci lo hłopów miełosierny — a o babe, abo o dziwce, to nie stoi nic.

Praśnij!

— Nie mogem.

— Jako fces — mruknęła starucha i wyszła z szałasu.

Stoczek zgasł, tylko „zawaternik“ jarzył się gdzieniegdzie iskrami. Szałas zaległa ciemność zupełna.

Ulisia została sama, zmartwiałemi oczami patrzyła w popielisko. Jak nigdy przedtem odczuła swoje sieroctwo. A jednak przecież na hali Miętusiej był jej dziaduś, ojciec jej matki, sta-

ruszek bogacz Wawrzyniec Miętus — Mrozem zwany, z Cichego, co starością rodu nie przewyższał jedynie Klusków Chochołowskich i rad opowiadał, jak to Kluskowie i Miętusy z królem Stefanem a Zygmuntem wojowali po moskiewskich dziedzinach. Dziadusia kochała bardzo, ale z powodu Wacka nie chciał jej na oczy widzieć; nie mógł znieść myśli, że jego „wnęka“ może się przez tego „cepra“ zmarnować.

— Nie wyrobis ś tem nic — szeptała w głos, — tak ją oplątały kąśliwe myśli. Oganiała się przed niemi jak mogła, aż wreszcie wyszła z szałasu do pola, nie mogąc już dłużej znieść samotności.

Owiał ją gorący dech halnego — już nie szła, a biegła teraz w dół doliny. Coś ją poniosło przez huczący las na Skoruśniaku, nawet nie zauważyła, że bór ucichł. Oprzytomniała dopiero w dolinie Miętusiej, niedaleko bacówki Dziadusia. Nagle przystanęła jakby olśniona. Wokoło szałasu snuł się dym, pełznąc po ziemi; wił się po kamieniach, gęstniał i mimo silnego wiatru nie ginął. Przeciwnie roztaczał się coraz szerzej w wielkie kolisko — lekkie, zwiewne.

Wystraszona Ulisia czuła, że dzieje się tu przed jej oczami coś niezwykłego — rozumiała tylko, że wiatr się dymu nie „hyta“.

Lęk ją przejął przed tą niewiadomą mocą, pragnęła biec, uciekać — nie mogła. Stała jak przykuta, bez ruchu.

Zwolna ogarnął ją wał dymu, widziała, jak ją minął i dalej roztaczał się, aż poza krówskie szopy, na uboczu. Czuła, że powietrze jest rozpalone, że drga; przenikała ją ta gorącość — obezwładniała. Ciąży jej głowa — morzył ją sen. Przymknęła oczy, owładnięta tą ciszą i prawie już traciła świadomość, co się dzieje, gdy nagle poczuła jakiś ciężar na ramieniu i cichy szept: „Uliś!“

Szła za tym głosem bez czucia, bez woli — dwa wielkie psy otarły się o nią warcząc cicho.

Ogarnęła ją teraz jasność, że aż zmrużyła oczy; owiał ją dym silny, pachnący żywicą i jakiemiś dziwnemi ziołami, Dobrze jej było w tem świetle, w dymie, w zupełnem zatraceniu. Gdzieś

potok szumiał cicho, monotonnie, czasem zabulgotały głośniej „żabice“ i znowu jednostajny szum.

— Cekałek cie, Uliś! — mówił głos z głębi.

Dopiero teraz zobaczyła przed sobą suchą, spokojną, jakby zmartwiałą twarz jej dziadusia, siedzącego koło watry. Wylękła oparła się plecami o ścianę. Patrzyli na siebie; w jego spojrzeniu blado-niebieskich od starości oczu była tkliwość — jakiś nakaz serdeczny.

— E, dziecko — przysłaś tu ku mnie — szepnął.

— Cosi me przywiedło — bez mej woli — odparła Ulisia i ku drzwiom zawraca.

— Rad cie widzem, ej raty!

— Ostańcie z Boge — idem!

— Jako fces — jedy cie nie trzymiem — przyśmiechnął się Wawrzyniec Mróz z Cichego, wpatrując się w swą wnuczkę.

— Puście me! — prosiła.

— Pochaj na kwile, cosik ci miał pedzieć.

— Nie kcem ani słyszeć!

— Nie fces?

— Nie kcem!

— Bez coz tak? — Okrutnieś wartka, kie ten potocek na zwiesne. Telo ci zekne, co syćko bedzie twoje, jako umrem — tu wstał i podszedł ku niej. Na piersiach wielka mosiężna blacha bacowska rozbłysła, jak słońce co z poza chmur prześwieca. Wydał jej się ogromnym, przemożnym — miał jakąś władzę nad nią; bała się go, a jednak serce jej radowało się. Czuła, że to co się stanie za chwilę, zmieni jej życie: dziaduś przebaczył jej, czekała jakby na jakąś łaskę, błogosławieństwo. — Dech jej zapierało w piersiach.

— Wołałek cie ku sobie. Wyzyłek dość; fcem ostawić ci syćko: — gazdostwo, gront, dwiesta trzinadziesiąt owiec, konie — sieliniejaki dobytek, kotlicek uherskik dukatów — het syćko!

— Bez cóz tak? — pyta się Ulisia.

— Boś mi sie udała — psebacyłek tobie! Ej, dziecko! coz byś ty ś nim robiła? Jedy to ceperski sietniak! Dusa w nim nie warce nic — wier mi, ja ci to mówiem. Ukazem ci.

Podszedł do niej, oparł rękę na ramieniu, a drugą zakreślił koło nad watrą, sypiąc jakieś zioła.

Buchnął dym gęsty, żółty — później siniał, bladł, ogarniając ich, jak mgła. Z początku nie widziała nic — po chwili zaczęły jej migać płatki czerwone przed oczami, coraz większe i większe, aż rozlały się w plamy. A z nich układał się dziwny obraz; widziała kiedyś zupełnie podobne malowania na szkle, tylko, że zamiast zbójnickich postaci ujrzała jakby cienie paru ludzi. Wydało jej się, że liczą pieniądze — rzucali jakieś kraśne karty; po chwili u jednego z nich zebrała się kupka złota, a on ją zgarniał śmiejąc się. Tak jej się coś majaczyło, bo obraz był jakby zamglony.

— Widzis?

— Widzem.

— Ej Boze miłosierny! jedy to Wacek!!

Obraz się zmienił zasnuty dymem. Teraz zobaczyła jakąś izbę — później poznała jego i obcą dziewczynę, którą on tulił do siebie.

Zakryła oczy, nie chciała już nic widzieć, lecz widziała wyraźnie poprzez własne palce jak przez szybę — tak, to był Wacek. Pili, ciesząc się sobą — później ta obca dziewczyna liczyła pieniądze, śmiejąc się, gdy jej coraz więcej ich sypał na kolana.

Nie miała czasu Ulisia opamiętać się z wrażenia, gdy nagle zobaczyła wnętrze jakiegoś kościoła i cudny obraz Matki Boskiej, obwieszony wotami srebrnemi i złotemi. Były tam serca takie duże jak spinka dziadusia, abo i większe — były złote ręce i nogi i inne dziwne przedmioty jej nieznane. Ale najbardziej zadziwiły ją dwa sznurki ślicznych korali: jeden był taki samiuteńki, jak tej — ten od niego. Niedobre myśli zaczęły ją prześladować.

Znowu obraz się zmienił — aż wzdrygnęła się: przed nią stał on i dawał jej te same korale, które widziała zawieszone na obrazie! A ten śliczny łańcuszek złoty, który jej wraz z koralami podarował zmienił się w serca, ręce i inne wota. Jednocześnie słyszy głos dziadka:

— Ukrod — łajdus!

Przytuliła się do dziadusia jakby broniąc od niego, a on szedł ku niej.

Krzyknęła.

— Niek psepadnie!! nie kcem! Matko Psenajświentsa!

Dym gęsty buchnął, zacierając straszny majak. Ocknęła się zmęczona, jakby po gorączkowym śnie, przetarła oczy, — obok niej stał dziaduś, teraz schylony nad watrą i sypał jakieś ziele. Paliło się zielonym, jasnym płomykiem, który wciąż się oddzielał strzępiastym jęzorem, jak gasnąca świeca, raptem zgasł. Po szałasie rozszedł się zapach przekwitłych róż i storczyków. Ściany, jakby zbielały — chłodny wiatr zawiał przez szpary.

W bacówce zapanował mrok; od przygasającej watry na twarz pochylonego Wawrzyńca Miętusa Mroza padały dziwne, drgające światła.

Ulisia, jak przez mgłę widzi kościste, trzęsące się ręce dziadka, zbierające popiół, a później jak zdmuchnął z dłoni wprost na nią, szepcąc jakieś zaklęcia i kreśląc krzyżyki na cztery strony świata. Uczuła osłabienie, szum w uszach — ogromne zmęczenie. Ogarnął ją jakiś dziwny sen: — bo przecież nigdy nie pamięta się chwili samego zaśnięcia, a ona wyraźnie czuje, wie, że zasypia. Ostatkiem świadomości rozróżnia jeszcze szum potoku od poświstu halnego, który się znów zerwał i huczy ponad dziadusiowym szałasem.

— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Świtało nade dniem, gdy się ocknęła. Poprzez szpary ciemnej komory wnikała do wnętrza poranna jasność.

Jak promienie słońca zbudziły się wygasłe myśli, tworząc kolejno barwne obrazy z wrażeń przeżytych tak niedawno, a takich odległych. Zdawało jej się, że między dniem dzisiejszym a minionym upłynęły lata całe, a przecież wie dobrze, że to się działo wczoraj. Poraz pierwszy w życiu zrozumiała to, co zwykle ludzie określają słowem — przeszłość. Tak, ona rozpamiętywała swoją przeszłość — bez lęku, bez tęsknoty — coś się skończyło zupełnie; potem nastąpił sen, a dziś zbudziła się do jakiegoś nieznanego nowego życia. Jakie ono będzie? nie umiała określić, ani też wyobraźnia jej nie nasuwała żadnych przypuszczeń. Czuła się inną, świeżą — pełną radości życia, nie pragnęła na razie

niczego tylko słońca, potoków — tego odżywczego światła. Miała uczucie, że jeśli coś kocha teraz, to tę roztocz złotą, promienną.

Budziło się w niej pragnienie swobody — czuła, że dziaduś ją wyrwał z mroków smutku i tęsknoty. Nie dziwiła się, że wspomnienie o Wacku było jakby zasnute mgłą — czem więcej o nim myślała tem bardziej stawał się jej obcym.

Pierwszy promień słońca zamigotał poprzez szparę. Wstała jakby poniewoli i wysoła przed szałas, by się umyć w potoku.

Zimna woda orzeźwiła ją — radość ogromna, młoda, wyrywała się śmiechem dziecięcej beztroski. Poprzez kropelki zawisłe na rzęsach, jak przez brylanty, świat jej się wydał jasnym, wesołym.

Turnie wyłaniały się z mgieł potężne — dumne, zamaszyste śmiałością urwistych półek, a gzymsów — poważne ogromem.

Cieszyło ją, że pierwsza idzie po smaragdowym kobiercu trawy oroszonej, radowały ją kosówki pnące się po uboczy — a już wprost wpadła w szał dziecinnego zachwytu, gdy ujrzała wielkiego pająka, który spał na swej siatce, dźwigając na sobie cudowny brylant: dużą kroplę rosy. Dziwna w niej nastąpiła przemiana z dziewczęcia-kobiety — w dziecko. Szła roześmiana naprzeciw dziadka, który pogładził jej rozpuszczone na wiatr włosy.

Właśnie owce wychodziły w góry, zmierzając ku dolinie Litworowej, gdzie szły paść się w turniach Małołączniaka. Szły jedna za drugą, prowadzone przez starego juhasa. Czasem to tu, to tam odbijały się jagnięta od kierdela i w podskokach pędziły, becząc z uciechy. Długi w nieskończoność sznur owiec snuł się przed nimi; turlikały rozgłośnie dzwoneczki, a od krówskich szop pod upłazem wtórowały im bimbadła, pojękliwie dzwoniły turconie.

Na samym końcu kierdela szli dwaj młodzi honielnicy, przytupując na głazach rozrzuconych po dolinie — drobnego. Wdzięczyli się przed urodną „wnęką“ bacy, a któryś z nich śmielszy huknął przyśpiewkę i zaśmiał się dziko, aż echa odkrzyknęły.

— Jedy to syćko twoje, Ułka!

Nie odpowiedziała nic. Ogromna radość stłumiła jej głos — miała uczucie, jakby jej cudowny sznur pereł ktoś cisnął pod nogi.

— Syckie som moje! — uśmiechnęła się do dziadka i on jej też radosnym odpowiedział uśmiechem.

— —

Hala dzwoniła.

Patrzyli teraz oboje radośnie za niknącym w oddali kierdelem. Wawrzyniec Miętus Mróz przysłonił sobie oczy ręką od ukośnych promieni słońca i patrzył z dumną powagą gazdy, lubującego się własnym dostatkiem — możnością.

Jego ciemne, mimo starości, włosy lśniły w słońcu, sucha twarz wyrażała nagłym bezruchem muskułów zadumę — patrzył w siebie, znać było, że coś postanawia.

Tłukło się serce Ulisine, zaniepokojone tem przydługiem milczeniem dziadusia. Czekała jakiegoś nakazu, zlecenia — czuje, że będzie mu powolną i chciała nawet tego. Jej wolna dusza, rwąca się do życia i swobody, buntowała się, a jednocześnie pragnęła, by nią ktoś pokierował — nakazał.

Wreszcie stary przemówił, lecz tak dziwnie, jakby sam z sobą rozmawiał.

Mówił o wielkości rodu, o dostatkach, które mu Bóg dał — ale tak spokojnie, serdecznie.

Słuchała go, jak się słucha kazania, ze łzami w oczach i z żalem w sercu — z podziwem, a ciekawością, jak cudownej bajki, co to z początku jest ponurą, straszną, a kończy się dobrze.

Dziwna to była opowieść, że aż trudno było spamiętać.

— To wej tak. Panowie majom swoje znaki sieliniejakie rycerskie, starodawne. Na tarcak, wis, uzdajane, coby sydźcy wiedzieli, jako go wołać, a honorować.

My górale nosujem swoje pasterskie odznacenia, jeno mało ftóry zna kielo warcom te „spinki", jako ik ta dziska zwom.

Za króla Stefana, a Zygmunta to wej znacyła ona moc — kie jom, wto nosował na piersiak, to wej znacyło telo, co beł hłop, co „ciupagom nie babrał", a świsnął na owce, to ogień, woda sły, aze zgiełcało po upłazak.

To wej tak beło — westchnął starzec i zapatrzył się przed iebie.

s Słońce już wyszło z poza turnic i gorącymi promieniami zalało całą halę. Topniały śniegi po źlebach, parowały omokłe rosą kosówki, roztwierały się kielichy łąkowych kwiatów, zbudzone słońcem. Od poblizkich lasów wiało żywicznym aromatem.

Ulisia ocknęła się z zamyślenia, jakby ze snu zbudzona.

Dziwnie się układało to Ulisine życie. Jeszcze póki dziadek żył i opiekował się nią, młoda dziewczyna podporządkowywała się jego władzy, a on z serdecznym despotyzmem wychowywał ją na gaździnę wielkiego rodu. Czasami ją to gniewało, że wszystko musi być tak, jak staruszek chciał, ale ulegała mu. Zresztą nie bronił jej uczyć się z książek i czytać, co ludzie piszą o świecie, a nawet cieszyło go, że pisane zna, jako nikt na halach. Dumna była z tego i starała się w miarę możności dowiedzieć się o wszystkiem, co ją zaciekawiało. Z początku sądziła, że za pomocą pisanego słowa ogarnie całą mądrość świata, lecz wkrótce zrozumiała, że to jest niemożliwością, że tylko małą cząsteczkę tych mądrości może sobie przyswoić. Bolała nad tem jej harda, młoda dusza rwąca się do wiedzy. Tak minęło parę lat.

Dziaduś przygarbił się, z każdym dniem słabł, wygasało w nim życie. Już nie bacował na ukochanej hali. Tak minęła jesień. Nie pomogły ani leki, ani zamawiania, ani doktorzy, — nie pomogła miłość i serdeczne opiekowanie Ulisine.

I wreszcie nadszedł dzień zimowy mroźny, który dotychczasowe życie jej odmienił — dziaduś zmarł, pobłogosławiwszy ją. Zapadła się w pustkę rozpacznego smutku. Stroniła od ludzi i samotnie rozpamiętywała ostatnie słowa starca, który ją gasnącym szeptem wtajemniczał w moc czarodziejską bacowskiej „blachy". Oddał jej ten klejnot bacowskiego rodu i zamknął oczy na wieki — a tak dziwnie miał twarz spokojną, cichą, jakby już na tamten świat patrzył — na Panajezusowe hale, ka sie dusycki jasne pasom, radościom zaświatowom.

Jej duszę owładnął podświadomy mistycyzm, wierzyła teraz w cały czarodziejski świat, który poznała z opowiadań dziadka

i innych starych baców. I nagle doznała olśnienia: ujrzała ten sam cudowny świat w Tetmajerowskiem „Skalnem Podhalu" — taki przedziwnie jasny, żywy, że aż zdumiała, czemu wcześniej nie rozumiała tego, co dziś ożyło z taką przemożną siłą. Niektóre postacie były jej bliskie, jak ci krewni i przyjaciele, z którymi się zżyła przez lata. „Marysię Daleką" kochała jak siostrę, a gdy sobie wspomniała Jędrka Pazdura, aż jej się serce ściskało, a łzy cisnęły do oczu. „Gazda Halny" był dla niej uosobieniem umiłowania tego skalnego świata, który jak raj nieziemski otwierał się teraz przed nią — cudowny, nieprzebrany w skarbach, osnuty, jak mgłą, tajemnicą legend i baśni.

Bywały chwile, że zamykał się ten świat cudowny, zapadał, że nie widziała nic okrom skał, a żlebów słyszała jeno dzwonienie krówskich bimbadeł, a turconi — owieckich dzwoneczków. Strach ją wtedy chwytał za piersi, w której się serce trzepotało, jak duszony „szałaśnik" od jastrzębia. Zamykała się wtedy na szopie i we łzach modliła o ratunek, całując „niespodziany" krzyżyk na dziadusiowej spince, z którą nie rozstawała się tak w dzień, jak i w nocy. Czasem stawało się odrazu tak, jakoby drzwi odemknął do pola, a czasem trzymało ją przez długie dnie i powoli mijało. Wtedy ciskała wszystko, zostawiając Zosi Łęcackównie krowy i szła w góry, zatapiała się w czarownym raju, nie widząc ludzi, nie dostrzegając nic, co nie było jej utęsknieniem.

Ej dobrze jej było! Radowała się słonkiem — potoki jej grały, wspomagane przez bór ciemny, aże echa zbudzone pokrzykiwały dokoła.

Tak przeszły dwa lata, minęły jak sen.

Już trzecią zimę miała spędzić w Cichem na odziedziczonem dziadusiowem gazdostwie, gdzie się przeniosła posłuszna jego woli. Samotną się czuła mimo starej Maryny i parobka, którego przyjęła do pomocy, czując, że nie zdole na tak hrubem gazdostwie obstać się bez chłopskiej wyręki. Tęskniła za szałasem na dolinie Małej Łąki, za tym cudnem życiem wolnej juhaski.

Przyszły kurniawy, zasypały skalne szczyty, a na jej duszę padł cień codziennego życia. Nie zdawała sobie z początku sprawy. — tylko wiedziała, że serce jej ogarnia jakaś cichość ogromna, czuła, że brak jej sił, by myślą pójść w ten cudowny świat rojeń.

Ludzie z zazdrością popatrywali na nią, kiwając głowami. Zachodziły do niej co zamożniejsze .gaździny, niby to pożyczyć „obońki“ albo „grul“, a właściwie próbowały namówić ją — swatały zawzięcie. I odchodziły zagniewane, bo im wręcz opryskliwie odpowiadała:

— Jako mi syćkie złoto z Krziwania prziniešie, to pude za niego!

Z początku myśleli ludzie, że taka łakoma na „dudki“, ale później zmiarkowali, że nie w tem rzecz była.

— Jedy dudków ma dość, jeno ceko na króla z Magóry! — przycięła jej raz Józkowa Jarząbcula, zła, że wykpiła jej syna, którego chytrze zachwalała Ulisi.

No i skończyła się opieka ludzka, bo gaździny honorne były i despektu jej przebaczyć nie mogły.

Tak przeszła zima.

Któregoś dnia Franek Tyrała, co za parobka służył, przyniósł Ulisi wiązankę krokusów. Ucieszyła się tak, że aż oczy jej rozbłysły, jak słońce — widziało się, że ją odmieniło. Ej odmie-

niło się — jeno Franusiowi, co się w te oczy zapatrzył i do znaku zgłupiał. Wychodził dzień po dniu przed świtem na krokusy i znosił ich tyle, że wreszcie zapytała go, śmiejąc się:

— Franek, jedy syćkie z całego Podhala krokusy wybrałeś! Cóż fces za to? — to ci dam.

Całkiem piknie zgłupiał i do nóg jej się zwalił i bucy, kie to dziecko.

Ej, miały też co kumoszki opowiadać — aże się całe osiedle trzęsło skrony Ulisinej wypłaty.

— No wicie, dawała mu serdak pikny — to nie fciał; dawała mu cielickę łaciatom...

— Wzion jom, tom cielickę?! — pytały się gaździny ciekawie.

— Ka ta, co ta — ni! jeno w ocy sie patsy, jako w tom swientom. To wej napedziała mu, jako, że da, co mu się zwidzi — „nie bój się, strzymiem słowa". No i wicie, on jej na to: — „pobośkaj me za te kwiatecki, cok ci je nosił!"

— Ej raty, to okrutnie śmiały parobek.

— Łaska Boska co jom o co jensze nie pytał! — śmieje się Stefcia Cyganka od Kohutów, że to była zazdrosna o Franka.

— Jakos! wysło co z tego?! — zakrzyknęły kumoski.

— Ano podeszła i pobośkała go w oba ocy — wypłaciła go. Co się nie robi, to się nie robi. — Nie widzi za niom nic, jeno jak pies za Ulisiom wsendy idzie, świata nie widzący.

— A nie wyda się za niego? — pyta któraś z gaździn.

— Hale, wydałaby się! Cóż wam do głowy przystąpiło? — Odprawiła go.

— To wej tak beło — rzece mu: „sukaj se służby u gazdów, mas tu dudki, cuhe...

— Hale, a o portkak zabacyła! — śmieje się Anielcia Walcackówna.

— Cichoj, kieś głupio! — zgromiła ją opowiadająca. — Syćko mu dała i gwarzy: „Nie mam do tobie nic — tyś hardy jako i ja. Od dziska za dudki służyć u mnie nie bedzies, a zapłaty innej dać ci nie mogem i nie fcem". Ostawił syćko piknie i poseł. Widzieli go, co ku Orawie sie brał.

Anielcia Walcackówna westchnęła niby i jak nie parsknie śmiechem:

— Ej raty! jedy u mnie na sopie miejsca dość — nie wyprasła by go, kieby przyseł ku mnie.

Na to jej Stefcia Cyganka od Kohutów:

— Nic nam po nim, jedy on na oba ocy ślepy wysedł od Ulisi, to widno.

Tak to pogwarzały sobie gaździny i dziewki po osiedlu w zimny, wiosenny wieczór.

Ulisia zaś siedziała sama i nie mogła się wybronić myśli; że ją ten Franek tak podszedł. Chwilami prawie, że płakała z wewnętrznego rozdraźnienia, lecz pocieszała się — za kwiaty mu wypłaciła, za wiosenne krokusy — ej za wiesnę idącą!

Wkrótce po tem zdarzeniu nastąpiły dnie pachnące wiosenną rosą; złociste słoneczko coraz wyżej wybijało się nad góry. Przyszły wiatry halne, gorące powietrze wdarło się w zamarły przez zimę świat — topniały śniegi po halach, a dolinach.

Jakoś pod koniec maja wyszły kierdele owiec na halę, a przed niemi o parę dni krowy — i zaczęło się dla Ulisi rozkoszne życie pasterskie.

Dymiły watrami szałasy, pachniał dym kosówek, a sucharzy smerekowych. Bimbały turconie, kłapace, podzwaniały owieckie dzwoneczki na odwiecierz i zacichały, gdy księżyc zazierał z za grani jasny, srebrzysty.

Szumiały zazwyczaj suche łożyska potoków nadmiarem wiosennych wód, bełkotały po kotłach, mieląc „żabicami", strzelały w ciszy nocnej rozsychające się skały, a mgły wieczorne obsiadały na graniach to opadały w żleby, gdzie resztki zczerniałych śniegów skryły się przed słońcem.

Nic się nie zmieniło na dolinie Małej Łąki okrom tego, że stare szałasisko Kuby Jarząbka halny rozebrał do znaku. Na hali Miętusiej bacował teraz Bartłomiej Staszel-Świstak. Ulisia znała go dobrze, bo był to przyjaciel nieboszczyka jej dziadka, a i teraz często widywała się z nim, bo przecież i jej krowy pasały się w Miętusiej pod opieką starej Maryny. Ona zaś wolała swój stary szałas po ojcach w dolinie Małej Łąki.

W dwa tygodnie po przybyciu owiec na halę przystał nowy juhas ku bacy Staszlowi — obcy — z oddalnych stron. Gwarę miał, jakby trochę inną — mruk był nieprzystępny, a hardy i śmiały, jak mało który. Lubił go baca i wyróżniał pośród innych — znać było, że mu się udał. Wołali go Tomek Kubiniec.

Poznała się z nim tak, że on jej jałówkę odszukał, co zaszła w półki. Przyprowadził ją i mówi:

— Twoja? To se jom pilnuj! pasał ci jej nie bede.

— Jedy nie musis! Bóg zapłać, coś mi ją znalazł. Szukałam aze po turniak Ciemniaka, całom Mułowom i Litworowom dolinę zchodziłam za niom. Ka beła?

— Nie prec — w Małołączniaku. Widno gma ją stumaniła — zaszła w półki.

— Nie odpocnies? Mleka ci dam, abo herby.

Siadł przy watrze i kurzy fajeczkę, nie mówi nic, jeno się przypatruje i wypatrzył książki. Wziął w rence i czyta.

— Uconyś? — pyta się go zaciekawiona.

— Jako i ty.

— Cóz me tak tykos!

— Jedy mi tys nie dwois — uśmiechnął się.

Spostrzegła, że prawdę mówi, więc się zaśmiała — podobał jej się.

— Cóz sie tak patsys na mnie? Cyk je łaciaty, cy jako?

— Ni-i, jeno mas białe rucki.

— I — w Kralowanie byłek, letkom robotę miał, to zbielały — odpowiedział niedbale.

Zauważyła jednak, że go to drażniło.

— Cóz to za robota, co ci rence wybieliła? Smaty prałeś, cy jako? — żartowała.

Zaśmiał się samymi kątami ust. Podrażnił ją ten uśmiech, więc znów przycięła:

— Cóz tak warcys?!

Wstał i podszedł ku niej; jego ciemne oczy zaiskrzyly się, lecz odrazu przygasły.

— Idem, bo nie fciał byk ci coś pedzieć — choćka za to warcenie nolezy ci sie, Uliś!

Ona już nie była gniewna na niego. Jakaś żałość ścisnęła ją za serce, więc podeszła i serdecznie pyta się:

— Gniewnyś? — ej co by my sie gniewali! Jako bedzies fciał to przyjdź ku mnie — rada cie ugoscem zawdy.

— Przylecem kie — ostań z Bogiem.

— Boze cie prowadź.

Wyszedł i znikł w ciemnościach. Takie było ich pierwsze poznanie.

— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Miało się na burzę. Już od samego wieczora zbierały się chmury czarne i przewalały po grani. Po północku spadł ulewny deszcz i potężny huk piorunów zbudził Ulisię. Przetarła oczy — burzy się nie bała, ale było jej jakoś smutno, samotnie. Gdy tak rozmyślała, na dole zaburzył ktoś we drzwi raz i drugi. Zatłukło się Ulisine serce — zeszła na dół i pyta:

— A fto tam?

— Jo, Kubiniec Tomek — odpowiedział głos z pola.

Zadrżała radośnie i powoli odsunęła zapory — wpuściła go do środka i z powrotem zaparła wejście do szopy.

— Psenocujes mnie? — ćma, nie widno nic, nie fce mi sie iść na bacówke. Domęcyłek sie.

— Jedy miejsca dość — odpowiedziała — rada cie widzem.

— Prawda to? — popatrzył jej w oczy.

— Prawda — najprawdziwsza — przytwierdziła.

— Usiadł, zrzuciwszy uprzednio przemokłą czuhę. Pochylił się nad watrą i kapeluszem rozdmuchiwał dogasające zarzewie.

Ona nastawiła kociołek, starając się, by nie spostrzegł, że ręce jej drżały — co chwila ogarniała ją szalona radość i lęk — z czegoś się cieszyła i bała jednocześnie, Krzątała się niby swobodnie, a przecież była pewną, że jest właśnie inną i że tę inność on odczuwa — śledzi ją spojrzeniem swoich smutnych, czarnych, jak ta noc, oczu.

— Zaniesło się na lejbę — mówi Tomek.

— A zaniesło — odparła.

— Samaś tu na sopie?

— Jedy nas dwoje.

— Cekałaś mnie?

— Cobyk miała cekać na cie!

— Rada mnie widzis, Ulisia?

— Tako cie widzę, jako cujes.

— Hej raty! barz rada, cuję to.

— Śmiałyś — jeno mnie strah nie biere.

— Cóz ty cytas? — pokaz.

— Weź sobie, białe rucki mas, to mi nie usmolis książki.

— Cóz ty mi tak wypominas te rence?

— Bo jako były białe, tako i ostały sie. Słonko nie chyta sie ik — aze mi dziwno. O wej moje carne — —

Wyciągnęła zgrabną, małą rękę o długich palcach. Przypatrzył się jej i niby chcąc wróżyć przytrzymał.

Wyrwała mu się zastraszona.

— Nie fcem nic wiedzieć! Co ma być, niek bedzie za wolom Boskom, jeno niek nie wiem, co bendzie za kwile, ani za dzień, ani za rok.

Podała mu kubek herbaty, sama też siadła obok, pijąc ostrożnie gorący napój.

— Osłodziłaś mi, ze raty! — odezwał się wesoło.

— Cóz załować ci bede? Za słodko? dolejem ci.

Zamilkli. Deszcz lał, od czasu do czasu bryzgała przez szpary woda. Tomek poprawił „zawaternik" i zapatrzył się gdzieś przed siebie.

Ocknął się dopiero na jej głos.

— Pódzi spać na sope, siana dość — ciepło.

Mówiła dziwnie miękkim głosem, nie patrząc na niego.

— Ostanem tu — wskazał na ławę.

Coś od połowy czerwca odmieniło się powietrze i z wieczora w sam dzień św. Jana zerwał się wiatr od Orawy i zaczęło „suć“ śniegiem. Padały gęste, białe płaty bez mała tak duże, jak ręka dziecka.

Baca siedział zapatrzony w ogień i kurzył fajeczkę — od czasu do czasu „cknął“ śliną przez zęby w popielisko. Milczał.

Tomek Kubiniec leżał na ławie i zdawało się, że drzemie, lecz nie spał. Męczyły go rozmaite myśli, aż w końcu tak się stały natrętne, jak te muchy kąśliwe.

Zerwał się, odwrócił toporkiem „zawaternik“ i przysiadł się do bacy. Zaczęli zrazu cicho pogwarzać.

— Suje bestyja, kiebyś wór z monkom ozpucył — narzekał Bartłomiej Staszel.

— Het kurzy — odparł Tomek, patrząc przez „przezior“ do pola.

Obaj gońcy i juhas Staszek Kohut spali pochrapując, z nogami rozbutemi z kierpcy ku watrze. Czasem kopnął któryś z nich nogą, gdy go przypiekło, odwrócił się i chrapał. Domęczeni byli.

— Nie wyrobi ś nami nic! Ornackiemu bacy to ta mogom owce wykapać, hoćka zna on sieliniejakie sposoby — może się ta i wybroni jako. Łońskiego lata to wej durknął do płanetnika, dopukał mu, bo się ozeźlił tak, co sie widziało, ze sałas zabiere z owcami — telo wody sły. Widziałek, to wej beła śtuka.

Tomek przytwierdził ruchem głowy i dobywszy z kieszonki serdaka srebrną papierośnicę poczęstował bacę i sam zapalił. Zdarzało się to wtedy, gdy mu ciężyło dobrowolne wygnanie.

— Przibacyłek sobie: beła tu Ulka — ozpytowała się o tobie. To tak, to tak, musi zwidziałeś sie jej, cy jako?

— A co sie was ozpytowała?

— O syćko. O haj, mondra bedzie, jako sobie uzdaja, to cok jej napedział — chwali się baca.

— Kawalir ten Kubiniec? cy zeniaty? — tak wej mnie podchodzi. Jo jej zeke: — na weselu jego nie tańcowałek, ani mogem uznać. Jeno wesoły, jako by miał trzi! Aże parsknęła na mnie taka zło beła, kiek jej to pedział.

— Ucony kie jegomość — peda mi ona. — Wysłuchał cie cy jako? — zapytałek sie jej. To ona na innom nute:

— Ujku, powiedźcie mi jako sie pise?

— Kubiniec Tomek jedy wis — pedam. A ona gwarzy „białorucka“, że to niby mas delikatne rence, zwidziały się jej, No to wej odpedziałek, co zawdy na odwiecierz w zentycy se mocys. Ej zło beła — zło!

Tomek zapalił papierosa — nie śmieje się nic.

— Jak me morduje, tak me morduje, widzem — źle! Cosi o was zwiedziała sie; ozmyślujem, coby tu rzec — no i wymyśliłek: co gazdostwo hrube mos, konie, krowy, kierdele owiec — widziało mi sie bedzie dość tego majontku. A ta bestyjka me podesła i mówi:

— Hruby gazda! a nie wiecie ujku ma karete, cy ni?

Zgłupiałek, ale nic:

— Ma dwie, cemze by mierwe woził? —

— No i wis nie uwiezyła, ani na telo!

— Jak to nie uwierzyła wam, baco?! — zakrzyknął zapominając się Tomek.

— Ano, cóz fcecie panocku, jedy to ucone dziewce, bądź cem nie odcepis sie od niej. Zna pisane słowo, a rence twoje som bieluśkie — pańskie, a nie hłopskie; jedy ma ocy. Zol mi dziewcęcia, z dobrego rodu: ociec jej pisał się Tylka Hohołowski, a matka to wej beła rodzona córka Wawrzka Miętusa; wołali go Mróz, bez to co kie komu sie przipatrził do oczu to mroziło cłeka — siełe miał. Bacował tu wej na Mientusiej — najstarszy to był baca. Zmarło mu sie, ej zmarło!

Wiedział to wszystko Tomek — zimno mu się zrobiło i jakoś nieswojo. Dorzucił pare „sajt“ na ogień i pyta się:

— Cóż z temi rękami? może jakie ziele?

— Ee, ś tem nie wyrobis nic, ostanom sie twoje pańskie, rodzone ruce. Nie odmieni ik ani ziele, ani zamawianie — to wej tak — pyknął parę razy z fajeczki i mruknął· — kieby cłek beł do tela władny co by móg sycko odmienić, to by sie wartko swiat skońcył — popatrzył na Tomka i pocieszającem tonem dodał:

— Jo cie nie wydam, ani moje hłopcy; znajom oni bacowskie prawo. Juzek niejednom śtuke widział, jeno zawdy, oreł suka orlicy, to wej tak! — zakończył baca, nakładając „habryką“ fajeczkę, zmieszawszy ją uprzednio na dłoni ze śliną, włożył w zarzewie, żeby się zapiekła.

Zamilkli. Szałas zaległa cisza; ogarnęła ich senność nieprzezwyciężona — rozmarzało ciepło buzującej się jasnym ogniem watry. Na dworze szumiał wiatr, rozpędzając ciężkie śniegowe chmury — gdzieniegdzie przebłyskiwały gwiazdy.

Od paru tygodni Ulisia żyła jakiemś wewnętrznem życiem, jej samej nieznanem. Unikała ludzi, odbiegała od krów, zostawiając pieczę nad niemi Zośce Łęcackównie. Dobra to była dziewczyna, spokojna, małomówna i ogromnie przywiązana do niej. Któraś z juhasek nie bez słuszności nazwała ją „Ulisinym cieniem", bo szła za nią wszędy, a patrzyła na jej usta, czekając serdecznego słowa. Żyła jej życiem: cieszyła się, gdy ona była radosna, a smutniała, gdy na Ulisię przyszedł czas zadumy.

Czy Zośka domyślała się przyczyny tej walki wewnętrznej? Tego Ulisia wiedzieć nie mogła, ale dobrze jej było z tą cichą dziewczyną. Dziwna to była przyjaźń bogaczki z tą „dziadulą", jak ją po cichu zwały zazdrosne juhaski. W. głos zaś nikt by nie ośmielił się tego słowa wymówić, bo wiedziały wszystkie, że Ulisia ją uważa, jako siostrę rodzoną, a że tak ze starodawnego rodu, jak i z ogromnego majątku po ojcach i dziadku miała wśród nich znaczenie, więc nie mówiły nic i schlebiały jak mogły. Niecierpiała ich za to Ulisia i stroniła od nich, a toż samo intuicyjnie czynił jej „cień". Pasała więc Zosia krowy Ulisine i swoją graniatą, a wodziła wylękłemi oczami za Tomkiem Kubińcem, który od czasu do czasu zaglądał do Małołąckich szop. Jakiś zabobonny lęk miała przed nim i zawsze gdy się jej zdarzyło z nim spotkać, usuwała mu się z drogi. Gniewało go to, więc raz przytrzymał ją za rękę; stała przed nim drżąca, nie śmiejąc podnieść oczu, na bladą twarzyczkę wybiegł jej rumieniec, a usta zacięły się, jakby wstrzymując ostre słowa.

— Cóz uciekos ode mnie?

Ona nic — jeno patrzy tak, że aż dech jej zaparło.

— Cyk je wereda jaka? cy carownik?

Zosia patrzy, a milczy.

Puścił jej rękę, osunęła się bezwładnie po jej zniszczonej spodniczce.

— Cóz stois, jako by cie zamroził?!

Lecz i teraz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zły był sam na siebie — czegoś nieswój. Siadł na kamieniu przed szopą i czekał rozmyślając.

Gwiazdy zaświeciły na ciemnem niebie; dolina uciszała się podzwaniając. Już z dalszych szop, a szałasów przebłyskiwały ogniska, mgły wstawały po półkach, a żlebach — zapadała noc.

Ogarnął go niepokój o Ulisię a jednocześnie zbudził się męzki egoizm. Gdzie też ją poniosło, gdy on tu czeka na nią? Przez moment błysnęła myśl przekorna — pójść. Zajrzał do szopy, ciemno tam było we wnętrzu i wiało pustką mimo, że zadzwoniły bimbadła Ulisinych krów. Siadł więc z powrotem na progu i czekał zasłuchany w ciszę.

Czasem dzwonek zadźwięczał gęstniejącą mgłą stłumiony, czasem zaszumiał smrekowy bór. Gasły ogniska po szałasach, chłód się -wzmagał.

Wreszcie nadbiegła zdyszana Ulisia, a ujrzawszy go nagle, krzyknęła radośnie.

Po raz pierwszy zrozumiał, że można krzykiem wyrazić i radość i ból i szał tęsknoty — wszystko. Ucieszył się w duchu z wrażenia, które wywołał, a jednocześnie egoizm zbudzony podszepnął mu cierpkie słowa.

— Kaś beła? Cekom karwas casu — marznem kie ten pies! Juzek kciał iść prec.

— E, Boze! kieby ja wiedziała coś prziseł, ej Boze! Radam ci kie temu słońcu złocistemu, kie wietrowi co hucy światami lecący, Tomecku!

— Coz fces?

— Tomecku — powtórzyła, radośnie wpatrzona w niego.

Czuł, że traci spokój; ogarnęło go ciepło serdeczne jej słów, jak dech gorący halnego. Wahał się w sobie, bał się, że może się coś stać, czego będzie żałował. Pragnął przytulić ją do piersi.

całować jej usta jeszcze dyszące zmęczeniem, a coraz bardziej był szorstki.

— Tsa watre ozpalować, zimno co raty!

— Tomuś! — — szepnęła prosząco.

— Ady nie zabacyłek, jako me wołajom! — odparł cierpko.

Weszli do środka Ulisia rozpaliła ogień. Buchnął dym żywiczny, pachnący. Tomek usiadł na ławie, przymknął oczy. Senność odejmowała mu władzę, ciepło rozmarzało coraz bardziej. Roił sobie obrazy fantastyczne, barwne, jak ukwiecone łąki. Cieszyła go troskliwa opieka, że mu dogadzają — rozhartowywał go nastrój nerwowego napięcia, jaki stwarzała Ulisia swoją obecnością. Miał świadomość, że jest wciąż śledzonym przez jej rozkochane oczy, że na lada skinienie padnie mu do nóg — ale tego nie chciał. Sycił się umiłowaniem tej na pół dzikiej, na pół cywilizowanej dziewczyny; wiedział doskonale, że w ten sposób doprowadza do jakiegoś szalonego wybuchu. Sama myśl tego przeczuwanego momentu podniecała go. I w nim też budziła się pierwotna natura mężczyzny — siłą woli panował jednak nad sobą, przybierając pozory obojętności i zmęczenia.

Ulisia chwilami traciła przytomność z rozkosznego bólu oczekiwania. Pragnienie pieszczoty przeszło powoli w szał rozbudzonych, młodych zmysłów. On widział to poprzez długie, aksamitne rzęsy i coraz jaśniej uświadamiał sobie, że cywilizacja zagłusza tylko pierwotny instynkt — wypacza go, ale unicestwić nie może. Nie dziwił się też nagłym zmianom, które wyczuwał w sobie. Z rozkoszą samoudręczenia analizował budzący się szał, wodząc za nią oczami, w których palił się ogień. W miarę przetwarzających się refleksji odezwała się w nim duma pana. Przez moment zobaczył śmieszność swego przebrania, całą sztuczność roli, którą samochcąc narzucił sobie, pragnąc oswobodzić się od wszelkich form i formułek świata, który stał mu się wstrętnym. Dziś jednak był skrępowanym i bezradnym.

Ulisia przysiadła naprzeciw niego przed watrą. Zapatrzyła się w kłębowisko płomieni, jakby czerpiąc z nich siłę żywotną — czekała chwili.

Z wolna podniosła głowę i jakby ze snu zbudzona, odgarnęła włosy z czoła, Przy tym ruchu zsunął jej się rękaw lnianej koszuli, aż za łokieć, odsłaniając białe ramię — zabłysło wężowym ruchem. Zwróciła głowę ku niemu, usta jej lekko rozchyliły się, jakby do pocałunku, drżały jak płatki rozkwitającej ponsowej róży. Chciał zamknąć oczy, lecz nie mógł; coraz wyraźniej widział jej rozszerzające się źrenice, które ciemniały, wpijając się w niego upartem spojrzeniem, a usta jej omdlewały w uśmiechu szczęścia i pragnienia.

Szepnęła coś, nie słyszał nic, a jednak zrozumiał to słowo. Wstał i podszedł ku niej — usiadł obok i przytulił ją do piersi. Ich usta złączył pocałunek, tchu im brakło, szumiała krew bijąca rozszalałą falą. Otoczyła go ramionami i wtuliła się bezprzytomna. On czuł jej piersi młode drżące z rozkoszy. Przywarła całem ciałem, paliła ogniem szalejących zmysłów, odbierając przytomność pocałunkami.

Nagle zesłabła. Miał wrażenie, że trzyma w rękach ścięty, żywy kwiat. Ucałował pobladłe usta, zastygłe w uśmiechu i tulił w ramionach, jak usypiające dziecko. Przelotnie poprzez rozchyloną koszulę zobaczył młode pąki piersi — lekko różowe.

Drgnął, nagły lęk wypełz i żal czemu to się stało. Czemu rozkwitał mu ten górski kwiat i czemu on, przygodny wędrowiec, pije rozkosz.

Ogromne wzruszenie owładnęło nim. Lekko, z tkliwością ucałował jej przymknięte oczy i te cudne rozchylone usta. Zbudził ją tym pocałunkiem; zapłonęła rumieńcem, wtuliła mu w ramiona swą drobną główkę i cicho załkała.

Ogarnął go strach, jakby zawisł nad przepaścią. On nie mógł tego czuć, co ona przeżywała — to były pierwsze w jej życiu łzy szczęścia.

Powoli uspokoiła się zupełnie i z niesłychaną prostotą podała mu usta, patrząc z pod zmrużonych powiek. Całował bez pamięci — a Uiisia śmiała się, podsuwając mu różane wargi, radosne.

Nagle spoważniała, jej ciemne brwi zbiegły się ku sobie.

Sięgnęła w zanadrze, wyjęła dużą spinkę bacowską, spinkę rodową, starodawną i z powagą przypięła mu na piersiach, wy-

gładzając pieszczotliwym ruchem łańcuszki i schyliwszy głowę, pocałowała wypukłe serce spinki.

Zdumiał się, gdyż znał zwyczaje i wiedział, jakie znaczenie miał ten bacowski klejnot. Widział też ten pocałunek jej — tak się całuje relikwje. Skąd ona to ma? Czemu jemu dała? Zawirowały mu pytania bez odpowiedzi, myśli bez związku.

— To wej som nase zrękowiny. Dałak ci tom dziaduniowom spinke — najdroższa mi beła w świecie — na prociw niej nie warce nic — ni złoto, ni korale. Aze strah mnie biere, com ci tom blahe dała. Juześ mój! Na wiecność my ze sobom złąceni. Nie odbiere mi cie nikt na świecie! — krzyknęła.

Ten poryw radości pogrążył go jakby w jakąś przepaść. Czemu on przed nią kłamał, czemu jej nie powiedział kim jest? — lecz teraz — już za poźno. Powie jej kiedyś, ale nie dziś. Szczęśliwym był, pragnął żyć chwilą. Przygarnął ją do siebie ramieniem i pił rozkosz, aż do bezpamięci. Nie broniła mu ust.

Watra przygasła prawie zupełnie, czasami tylko parę iskier wiatr wykrzesał z popieliska.

Ulisia łagodnie wysunęła mu się z objęć i zaparła zasuwę drzwi. Następnie rzuciła parę suchych gałązek, odczekała, aż się zatliły, wtedy sypnęła jakiś proszek ciemny na ogień. Buchnął kłąb gryzącego dymu.

— Co robis?

— Odcyniam złe, coby do nas we śpiku przystempu nie miało — szepnęła, odwracając głowę i całą mocą swych niebieskich oczu wpatrywała się w niego bez słowa. Wstał, jak zahypnotyzowany i poszedł za nią na szopę.

W upalny dzień sierpniowy na bacówkę Bartka Staszla Świstaka przyszedł gość z Zakopanego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wita się wesoło młoda panna.

— Niek ze ta bedzie, na wieki — odpowiada jej Staszel. Przypatrzył się i jak nie krzyknie:

— Raty na świecie, je dy to panna Krysia! Nasliście me? — cieszy się baca. Za ręce ściska, siadać prosi, a rozpytuje się o wszystko, wykrzykując z wielkiego wzruszenia:

— Ej, Boze! je dy to lata, a lata — tu zwrócił się do Kuby Zwijacza, z którym przyszła i krzyczy mu w same ucho, że to był przygłuchy — Kuba! telos me ucieszył, jak byś mi kierdel Orawskich owiecek przywiód.

Zwijacz aż ręką machnął i śmiejąc się, odkrzykuje:

— Ady widzem Bartecku, co sie ciesys, aze mi od wasej radości w usach zgiełcy — i jakby do siebie — całkiem piknie me ogłusył.

Śmieje się baca, śmieje się panna Krystyna, a Zwijacz drapie się za uchem rad, że kmotrowi dogodził.

— Co słychać gazduś u was? — pyta wesoło panna Krystyna.

— Na sałasie to wej tak, zentyce sie wazy, sery, jako wicie robujemy — oscypki. Fajecke zakuzymy, do pola se cłek wyńdzie i grzeje sie do słonka. Sumią smrecki, potocki, gdziesi kajsi echo zahucy. — Ady pijcie zentyce! sytna, na bruk zdrowa, jeno po lekku — patrzy sie na niom, a śmieje.

— Coby sie cnic miało na holi! Hłopców fajnych mom, owce se pasom — hej, raty na świecie! Wesoło mi żyć! Wicie, jako mi kudły wybieliło słońce bez te roki, co my sie nie widzieli.

Jak sie raduje, tak sie raduje — beł do komory — wyniósł ogromną skibę sera owczego, tak wielką, że można było nią uczęstować do syta i legendarnego olbrzyma.

— Jidzcie — mówi.

Panna Krystyna zanosi się od śmiechu.

— Gazduś, przecież jabym przez tydzień nie dała rady temu kawałeczkowi!

— O haj, już ja was nie puscę od siebie, pokiel nie odzywie, bladziście kie ten miesięczek na wietku. Ej Boze, kie psybacuję sobie wasego ojca, to aze mi sie wierzyć nie fce — kiwa głową Staszel, wspominając dawne lata.

— Jak to wszystko się zmienia, czasami myślę — — zaszkliły się łzami jej oczy.

— Cichajcie, panienko Krysiu. Jedy on tam ś tela patrzy na was z mamusiom, jako im rośniecie w słońcu. Ady cicho, dziecko! — gładzi ją po ciemnych włosach. — Wsekwładnego Boga nie tsa ucyć, on sam o syćkiem pamięta.

Panna Krysia spojrzała na bacę i uspokoiła się. Ogrómny miał dla niej urok ten stary góral, przyjaciel jej ojca; z nim mogła być szczerą, umiał wniknąć w duszę, przedziwną posiadając intuicję, ułatwiał niejedno. Tyle lat przeszło, a gazduś nie zmienił się nic: tak samo śmiały się wązkie usta, pogodnie błyszczały jego jasne oczy, tylko jakby nos był bardziej orli.

To starość rzeźbiła tę szlachetną twarz.

Zapanowała nad sobą — uśmiech zajaśniał w jej oczach.

— Prosem was piknie, niek jedzom!

— Gazduś, przyniosłam dla was coś — „habrykę“.

— E, Boze — cieszy się staruszek — coście to nie zabacyli o tej habryce! — i krzyczy Zwijaczowi w ucho — bees kuzyć! dom ci „marynarskiej“, bo psynieśli mi darunek, słysys?

A on na to:

— Jedy psódzi o tem wiedział, jako wy, bo mi we worku na plecak pahła kie miód.

— Dziękujem piknie za tom habrykę. Barz fajna — chwalił, rozwijając duży pakunek, w której było kilkadziesiąt paczek marynarskiego tytuniu.

Jedną wsypał do skórzanego woreczka, poczęstowawszy przedtem kumotra. Zakurzyli.

— Jako fto o drugim przibacuje, to sie dobre myśli rodzom. Bier Kuba, jednom pacusie, coby prawda beła, jakom pedzioł.

A Zwijacz mu na to:

— No niegze ta bedom śtyry, bo mi panienka trzi dała.

Baca w śmiech. — Toś me podsed! no nic ta. Worces ik, kie mi jom prziwiedłeś tu.

Kuba Zwijacz siadł na ławie i zadrzemał. Oni zaś, wspominając dawne czasy, gwarzyli o wszystkiem, czego nie mogli wiedzieć o sobie przez tyle lat niewidzenia. Rozmaicie tam być musiało, bo baca kiwał głową, a dziwił się.

— Uwazujcie panienko, co życie trefi sie strybne i hoćka człek myśli, co tak bedzie, jako sobie uzdajał — to nie musi tak być — tłomaczył, gdy mu się zwierzała ze swoich radości i utrapień.

— Som jest kurniawy — siompawice, som wihry sieliniejakie: ciepłe, aze dech zapiera na podobe halnego, abo takie, jako orawski, co mrozem duha, aze dusa w człeku mre, Som cyrniawy światowe, gmy. Słońce wis gzeje, jeno nie dzień po dniu!

— Pójdziemy do pola.

Wyszli.

— Zbyrcom dzwonecki — żeną juhasy owce dołu na odwiecierz — objaśniał baca, uśmiechając się do jakiejś swojej myśli. — Przipatrzcie sie, panienko, juhasowi co psodem idzie. Na gembie to ta barz pikny nie bedzie, jeno co głowe, to ma do myślenia uzdajanom. Tomas go wołajom, abo Tomek — okrutnie sie w gorak i gmach kocha. Barz me lubi, to jako mu powiem o was, to on ta pudzie z wami, ka bedziecie kcieli. Jo nie mogem — juzek stary. Skońcyło sie — o haj! Całe zycie człek hipkał po wiersyckak nie bedzie.

— Jeno, nie dawajcie Tomkowi dudków, bo wam praśnie ik i nie bedzie ś tego nic. On ta honorowo zastąpi me. Nie bójcie sie go nic, ja wam urencam za niego, jako za siebie.

Zmartwiła się, że baca z nią nie będzie mógł pójść, jak to dawniej bywało. Staruszek zaś gwarzył:

— On ta w tem nie robuje — za owcami to ta hodzi, bo go ciesom. Cózescie tak osmentnieli? Jedy ja bez te wase ocy to hoćka stary, a seł by z wami za takom zapłatę, kieby mi starość zborgowała! On ta nie w latak.

Zaśmiała się.

— Gazdusiu! a jak nie zechce?

— Ii, Tomek to nie skompego serca, jako bedzie widział, to wam — co sie zwysy — odda!

—A jeśli ja nie zapłacę mu nic za to przewodnictwo?

— W zyciu skompstwo nie płaci nic, panienko. Ej raty, jedy wam się ostanie — majontek.

Zaśmieli się oboje.

Z oddali zgiełczały dzwoneczki, owce szły pobekując. Gdzie niegdzie mglisty opar się tułał, ścieląc się pod lasy.

Baca przyłożył ręce do ust i silnym głosem, mimo sędziwego wieku, krzyknął:

— Tomek! redykaj ze sie dołu! a wartko!!

Ozmyśluje! bestyja — bez! to tak po maleńku idom. Wicie jakie pikne, bieluśkie, jako śniegiem osypane. A jedna za drugom idom, jak wojaki! Kielo to tego bedzie — — —

Nie doliczył, a tu mu w pół słowa wpadła odpowiedź, silnym głosem rzucona śmiało w dolinę:

Nie bądź ze tak wartki, Bartecku, nas baco
Bo mi sie owiecki po źlebak wytracą!

Rozkrzyczały się echa powtarzając dziki śmiech, którym się kończyła śpiewka.

— A to wereda. Pockaj! — wicie jako mi odpedział — gderał staruszek, lecz rad był widać. Nagle oczy mu błysnęły, poprawił kapelusz i huknął ku idącym:

Kabyś hłopce wiedzioł, fto na holi ce-eka
Leciołbyś kie oreł, kie do moza ze-eka!

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się. Takie to wszystko było inne, choć znane z dziecinnych wspomnień. Aż klasnęła w ręce z radości, gdy ujrzała, że owce teraz prędzej szły, a raczej zbiegały po ścieżce na halę.

— Napedziałek mu, to idom dołu kie potok biały, bielusieńki. Pockaj, takiś wartki! Ej wiera, pockaj!

Jakoż podszedł ku nim Tomek. Szczupły był, średniego wzrostu, twarz miał pociągłą, z gęstemi brwiami, silnie nasuniętemi na oczy. Nos z lekka zaznaczającym się garbem, usta wązkie z dziwnym wyrazem uporu, czy też może sarkazmu. Oczy prawie czarne, smutne, myślące, a przenikliwe; broda trochę naprzód wysunięta. Dziwny to był typ, — bardzo oryginalny.

Uchylił kapelusza, przeszedł mimo nich, nie wymówiwszy ani słowa.

Krysia obserwowała go z ciekawością i odrazu zauważyła, że juhas ten ma wprost prześliczne, białe ręce.

— Jako sie wam widzi? bedzie dobry na przewodnika lo was panienko Krysiu? — i nie czekając na odpowiedź dodał — pocie, trza wieczerze ryktować.

Od pobliskiego koszaru dolatywał tupot, to juhasi zabierają się doić owce.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Watra pali się jasno, pryska snopami iskier. Wirują one, jak rój pszczół i dogasają na osmolonych brewionach szałasu — to lecą, aż pod samo sklepienie z czarnych, uwędzonych dymem łat. Tłuką się pod dachem i gasną nagle, jakby złożyły skrzydełka.

Znużenie wielkie owładnęło Krysią. Myśli snują się, jak pajęcza nić, co chwila zrywana przez lot złotych iskier.

Dziwny ten juhas. Jak to on jej powiedział? — — „bedziecie mi dziękować, jako wam złoty wóz ukazem". Musiał mu baca naopowiadać o niej, bo bardzo był rozmowny. Coś jeszcze pragnie przypomnieć sobie, już prawie, że myśl sama się jej nasunęła, a tu nagle dym się zakłębił tak dziwnie, jakby dwa war-

kocze ktoś plótł — i to żółte i białe pasmo zatarło jej myśli — splątało.

Dym wiruje, kłębi się, wepchnięty wiatrem kotłuje w szałasie, to znowu na chwilę odsłonił skrawek trójkątny, jak symboliczne Oko Opatrzności, pod samym stropem dachu wycięty. Widać przez otwór ten parę gwiazd migających rozmaitemi barwami. Cicho szumi potok, jeszcze ciszej podzwaniają dzwoneczki z pobliskiego „koszaru" — to owce układają się do snu.

— Kfała Bogu co śpi — mówi baca — tsa bedzie panienke Krysie wcas do dnia obudzic jutro na te wyciecke, niek sie wyspi — czasu ma dość — wypocnie.

Krysia słyszy szmer tych słów coraz słabiej, jakby z dużej odległości — zasypia.

— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Krysia jest uszczęśliwiona — po tylu latach wreszcie znowu idzie w ten cudowny świat skalny.

Noc prawie jeszcze — ledwo szarzeje. To nic, że jest trochę niedospaną, ale musi zobaczyć wschód słońca, trapi ją jednak obawa, że nie zdąży na porę i czy dojdzie.

Wreszcie minęli Twardy Upłaz i zaczęli wspinać się coraz wyżej, aż na sam szczyt Ciemniaka. Chłodny wiatr powiał, przepędzając mgły rubinowo-złote — wschodziło słońce jeszcze niewidoczne, bo przesłonięte tumanem, który się kłębił dokoła nich, jak bałwany spienionego morza. Czasami zamajaczyły oddalone szczyty i zapadały po chwili gdzieś — bez śladu,

Nagle Krysia krzyknęła i mimowolnie chwyciła za ramię Tomka Kubińca, stojącego przy niej.

— Nie bójcie sie nic, ja haw — mówi on z uśmiechem.

Tuż przed nimi rozwarła się przepaść, wiatr zdarł czarodziejską zasłonę. Ze wszystkich stron piętrzyły się turnie dzikie, poszarpane — to ponure, jak pomniki grobowe, w wianku chmur, co zawisły ponad dolinami. Unosiły się mgły zwiewne z odwiecznych Tatrzańskich kadzielnic, dymiąc tęczowemi smugi w nieba lazur jasny. To znowu rozwiane tułały się po turniach

pełznąc po skalnych gankach, zniżały się żlebami i wiatrem rozsnute, przesłaniały złotem słońca przetykaną przędzą, fantastyczne sylwety skalnyeh obelisków.

Wionął wiatr — szumiąc pieśń świtania.

Od hal zapadłych w spełzłe z turnic mgły ozwał się dzwonków chór stłumiony, przerywany ciszą. Gdzieś w dole pod nimi szumiały potoki. Cicho, a później coraz rozgłośniej zagrał świerkowy bór poszumem igliwnych konarów, wiatrem kołysanych.

Pieśń potężniała, to cichła, gubiąc się w echowe grania.

Słuchali zdumieni z zapartym w piersiach oddechem.

To była modlitwa odwieczna świtania.

Wiatr wiał — wschodziło złoto-promieniste słońce.

Krysia z dniem każdym stawała się coraz weselsza. Radowało ją wszystko, najdrobniejszy szczegół interesował. Bacę i Tomka zasypywała pytaniami; objaśniali, tłomaczyli, ciesząc się, że im panienka odżyła.

— Okrutnie podaniście na wasego tatusia! — mówi baca. — Zelazny budowniczy to wej tak: o syćko sie ozpytował, a jako mu sie co barz zwidziało, to se siadł i zapisał.

Śmiała się serdecznie naśladując głos bacy:

— To se siadł i zapisał.

Przepadał Tomek za tym śmiechem, a gdy Krysia zamyślona milczała, wprost tęsknił, jak za ulubioną melodją. Nie zdradził się z tem jednak nigdy i przybierając pozory zupełnej obojętności kurzył fajeczkę. Byłoby mu zupełnie dobrze, ale trapiła go myśl o Ulisi. Tylko tyle o niej wiedział od bacy, że była tu na hali.

Pójść do niej, czy nie? rozmyślał — i jakoś tak się kończyło, że nie szedł.

Coś jak wyrzut sumienia ciążył mu na duszy.

Myślał wciąż z uporem, powtarzając sobie jedne i te same fragmenty, jakby chciał zmienić znaczenie przeżytych wrażeń. Czuł w sobie rozdwojenie i walczył z niem, wmawiając w siebie, że wszystko jest prostym wynikiem przypadku — przeznaczenia.

Radosne uczucie, które od dwóch dni ogarnęło nim z przemożną siłą, zacierało się, natomiast rozwielmożnił się niepokój. Bronił się przez pewien czas, lecz wreszcie poddał się biernie, był bez woli. Ogarnęła go pustka.

W takim stanie zeszedł go raz baca; przypatrzył mu się i mówi:

— Odmieniło cie do znaku!

— Posiwiały mi ocy od słonka, cy jako? — odpowiada Tomek, śmiejąc się jakby nigdy nic.

A baca na to:

— Wis hłopce, śniło mi sie, co prziseł ku mnie na sałas jej — Ulisin dziadek, nieboscyk Wawrzek Miętus Mróz. I cosi kajsi ozpatruje sie. Ucieszyłek sie ś niego, aze mi dziwno było, co strak me nie biere, ozpatrujem sie, co bedzie robił. A on nie mówi nic, jeno suka. Juzek kciał go zapytać, a tu mas! — Obudziłek sie.

Musiało cosi być, bo pieski wyły; widziało sie pozrywajom łańcuhy, tako ik cosi nabrało — o haj!

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

— I cóż ten halny będzie, czy nie? — pytała Krysia, gdyż baca przepowiadał, że się na to zanosi.

— Ozmyślił się i poseł gdziesi kajsi — utracił sie bestyja.

— No, więc nie zobaczę halnego! jaka szkoda!

— Nie trapcie sie o to, on ta bedzie za dzień, abo dwa.

— Strasznie jestem ciekawa! Musi być silny ogromnie?

— O haj, siełe ma. Jako mu sie wióra sopa uwidzi, to jom wnet rozbiere do imentu — robotny bestyja!

A kie przytupnie na grani, to wirhy się trzęsą — tak wej on tońcy. A pokrzykuje, na Luptowskom nutę! Smrecki to se rad widzi — kie pódzie w bór, to syćkie wyobyrta. To se pote lezom, jak przynapite — zakończył baca i zaczął coś po cichu szeptać z Tomkiem, który przytakiwał mu ruchem głowy widocznie rad z tego, co mu baca mówił.

— Słyszeliście koziom muzykę? Ni? pockajcie! — tu zdjął kobzę i wyszli razem przed szałas.

Bartek Staszel stanął na boku i zaczął jakąś dziwną, skoczną melodję. Kobza buczała rozgłośnie. Zmieniał nutę, aż wreszcie zagrał Marsza Orawskiego.

Gońcy poświstywali przez zęby, wreszcie drugi juhas, Staszek Kohut, nie wytrzymał: Wyleciał przed szałas, krzyknął dziko i bijąc wściekle piętami w ziemię, zatańczył.

— Wicie to zbójecki — objaśnia pannę Krysię młodziutki goniec, Maciuś Pająk, podrygując z uciechy.

— E raty, bedom tu tońcyc, bedom, kieby im jeno nas baca przizwolił. Ze samyk Kościelisk by śli, z Pysznej, z nad Stołow!! — wykrzykuje drugi. — Z Ornaku, ze Smytniej — z Białego a i z Kondratowej!!! Kie by im jeno znak dali, to haw by śli na muzyke.

Baca nagle przestał grać, urwał w pół nuty i mówi:

— Pockajcie, niegze panienka Krysia obacą zbójeckiego. — I do gońców: — Bier trombite!

Skoczył Maciuś do szałasu i wyniósł dudę drewnianą. Zatrąbił długo, przeciągle. Twarz mu pociemniała z wysiłku, a on nic, jeno trąbi coraz rozgłośniej, zwróciwszy dudę ku wschodowi.

Odpowiedziały mu turnie Giewontu — jęczą echa w Strążyskach, w Białem, ozwały się aż w Piekle i zmilkły w Kondratowej.

Odpoczął i znowu zadął, co miał sił.

Grzmią teraz w Kościeliskach, grzmią od Zbójeckich aż Okien, zmieszane, jakby organów grania. Zakrzyknęły gwarliwie w Tomaszowej i szły dolinami, cichnąc gdzieś po węgierskiej stronie.

Baca uśmiechał się z zadowoleniem, a gdy przebrzmiały ostatnie echa rzekł:

— Jako co ma być, to niek będzie; trza honornie upytać Ornackiego bacę Pietra Haszla, niek ze swoimi juhasami redyka sie ku nam.

Wszedł do szałasu i wraca po chwili, pokazując pannie Krysi duży pistolet skałkowy, inkrustowany srebrem i perłową masą. Zrozumiała.

Wszystkich ogarnia jakieś radosne oczekiwanie, błyszczą się juhasom oczy, a honielnicy-gońcy pokrzykują dziko cienkimi głosami — pieją jak młode koguty wpatrzeni w bacę. Bartłomiej

Staszel wskoczył na olbrzymi głaz, jak by mu lata nie ciążyły. Piękny był z tą siwą głową, z uśmiechem zbudzonej młodości.

Zagrzmiał potężny strzał. Smuga dymu rozsnuła się — echa grały ze wszystkich stron. Baca słuchał przez chwilę z wzniesioną ręką w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Zeszedł z kamienia i do gońców zwracając się, krzyknął:

— Hłopcy, nieg tu bedzie jasno, jako w dzień — a wartko!

Pobiegli z ciupagami w las po suche drzewo na ogień.

Ruch się zrobił na hali, przyszło parę juhasów i juhasek z Małej Łąki a i z Kościeliskiej Doliny nadeszły dwie.

Ogromny stos drzewa wciąż rósł, co chwila ktoś dorzucał to gałęzie, to smrecka, nawet i niekoniecznie suchego. Podpalili — buchnęły kłęby dymu gęste, siwo-żółte, miedziane — w zeszklone jasno od zachodu niebo; stos płonął.

Panna Krysia z zaciekawieniem przyglądała się tym przygotowaniom, a było też na co patrzeć. Dokoła ognia uwijały się cienie smukłych juhasów, opiętych w szerokie pasy, świecące mosiężnemi klamrami. Błyszczały piękne, duże spinki na czarnych koszulach baców — bulczaste, łańcuszkowe — to łyskały ciupagi w ogorzałych rękach, śmiały się ochotnie oczy juhasek. Cały ten gwarny tłum górali wił się koło ogniska. Co chwila słychać było rozgłośne „wyskanie“ — nawoływali się wzajemnie. Któryś z juhasów wrzasnął dziko i bił w miejscu nogami, aż ziemia dudniała, podskakiwał — krążył koło boczkującej mu dziewczyny; uciekała od niego drobnymi krokami, to znowu zbliżała się kołując — wabiła.

Bartłomiej Staszel przygrywał im na kobzie, a juhaski zawodziły przeciągle, kończąc każdą zwrotkę dzikim śmiechem.

— Wicie panienko Krysiu, co sie tu tego nazłaziło — zwrócił się baca przestawszy grać — kie byś ik z całego Podhola nazganiał. Jako te hrobocki do ognia, tak wej to na muzyke idzie. Haj! — Som jest — bacowie z nad Stołów, z Pysznej przyśli haw — z Kondratowej, a z Białego. — —

Nie dokończył, otoczyli ich juhasi kołem i śpiewali:

„Hej baca nas, baca nas,
dobryk, hłopców na zbój mas!
Jesce byjse (byś se) lepsyk miał,
kiebyś se im séra dał!“[2])

Zaśmiał się Bartek Staszel i mruknął:

— Jedy go wam nie załujem, bestyje, a i baranka dorucem; paleńki dom, jeno po kapce — haj! Jeno warujcie się, co by na despekt wto komu nie ucynił — nie lubiem bitki, uwazujcie. Groł wam bedem, jeno niek was Pan Bóg uhowa, co by tu nie wysło tak, jako na weselu u Kubowego Józka z Gronia.

Musiało tam coś być, bo bacowie pokiwali, milcząc, głowami.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Łuna nad halą coraz jaśniej przyświeca, gasną gwiazdy. Noc.

Dokoła wielkiego ogniska snują się cienie. Suną lekko „po nad ziem“. Z miarowym tupotem łączy się starodawna nuta zbójeckiego marsza; poważna, namiętna — to groźna — —

Tłum górali pokrzykuje w rozkosznem zapatrzeniu, podniecając tańczących.

Coraz szybsze tempo. Dyszą tłumionym szałem piersi juhasów, błyskają dziko oczy, coraz szybciej suną jeden za drugim, jakby ich jakaś moc złączyła.

Wściekłym wyrzutem łyskają opięte nogi, wiją się chwytnym ruchem ręce, prężą ramiona, chylą głowy, jakby w zapatrzeniu — to prostują dumnie.

Na przedzie jakiś ogromny juhas, czarny od dymu, niesie się, jakby nic na świecie nie istniało poza tym tańcem — piorunowe ruchy toporka zmieniają się w nieuchwytną błyskawicę.

Świst przeciął powietrze — zwalnia — przytupuje, prawie w miejscu tańczy, jakby szukał czegoś w myśli. Poświstuje — i znów się miota, jak szalony, pokrzykując dziko:

„Ucyła mie matka piéknie zatańcować,
A ociec mie ucył ukraść, dobrze sować!“[3])

pochwalił się, zakończywszy taniec któryś z Ornackich juhasów.

Krysia patrzy zdumiona, chce uchwycić jakiś ruch — melodję, — nie może. Wszystko zlewa się jej w migotliwy, fantastyczny chaos.

Kobzy grają rozgłośnie, czasem gdzieś echo zadudni — jakiś ruch zawrotny nieoczekiwany, to krzyk groźny, a tęskny.

Buchnął ogień. To jeden po drugim skaczą juhasi przez gorejący stos.

Kłębi się dym roztrącony śmiałym skokiem, płomienie syczą — pryskając skrami dokoła.

Po wirhak se hipkam, nad psepasciom tońce,
pude ku dziewcynie, lemze zańdzie słońce.
Jako zańdzie słońce za carne, za bory,
jedy puść me Maryś do swojej komory!

zaśpiewał sobie z wielkiej ochoty jeden z juhasów, Staszek Kohut.

Niedługo czekał na odpowiedź, bo mu wnet odkrzyknęła;

Widzi mi się, widzi twoja Staszku nuta,
jeno cok innego znasła se kohuta!

Rozległ się śmiech szeroki, jak wichura, i ucichł, czekano, co będzie dalej:

Nie mas, ze to nie mas, jak zycie juha—asa;
hipka se po wirhak, hodzuje po la—asak.
Sumią smreki sumią na nutę ozwo—odną,
a juhas się śmieje, mo duse ślebo—odną!

Zaśpiewał Tomek Kubiniec, a silny jego głos dziwne miał brzmienie.

— Ej Boze, — ślebodną! — westchnęła urodziwa juhaska, która, jak zauważyła panna Krysia, od dłuższej chwili przypatrywała się jej z ciekawością i uporem. Ładna była, młoda, giętka, z niebieskiemi oczami, trochę śniada.

— Jak wam na imię? — spytała ją, chcąc uwolnić się od jej przenikliwych spojrzeń.

— Ulka — Ulisia, a wam jako!

— Krystyna.

— To was wołają panienka Krysia! boscie tak jako i ja nie wydani?

Nie mas nic płońsego, jako sie zalubić,
Racej się utopić, abo sie zagubić!

zaśpiewał znowu Tomkowy głos gdzieś zdaleka.

— Ej wiera! juzek nie głupio, kieś mi tak napedział — ej wiera!

Tak cie rada widzem, jako słońce jasne,
Abo bedzies moim, a bo sie ka prasne!
Tomecku, Tomecku, bedzies me załować,
Kie me bedom ojce na cmentarzu hować,
Kie mi już zasypiom piaskiem moje ocy,
Może ci się dusa osmenci, omrocy!

odpowiedziała Ulisia, a potem nastąpił taki dziki krzyk, tak rozdzierający bólem kochania — tęsknoty, że aż któryś z baców wzruszył ramionami i mruknął:

— Śwarne dziwce, jeno nie barz mondre.

— Jedy hłopców dość! o haj — przywtórzył mu drugi.

— Musi wyonacyło jom, cy jako? kie sie tak dre, aze mi cudno, co wej dotela ogłupiło jom to kohanie.

— A niegze sie dre, kie mo cas — pocie kumie. Weszli do szałasu, gdzie się baranek w kotliku warzył.

Panna Krysia słyszała te twarde słowa starych górali; smutno jej się zrobiło. Czemu on ją nie kocha? Taka ładna i wrażliwa dziewczyna — czemu on jej nie kocha? Czemu taki smutny? — nagle usłyszała cichy szept, to Ulisia coś mówiła do niej, ciągnąc z lekka za rękaw.

— Pocie panienko, cosi ci mam pedzieć!

— Czego chcesz Ulisiu?

— Znacie — go? — panienko Krysiu.

— Kogo?

— Tomka Kubińca.

— Co za Kubiniec?

— Ej raty Tomecka juhasa nie znacie?

— Co tobie dziewczyno, czego ty chces ode mnie?

— Poco zeście prziśli tu, kie on uciekł od was? Ostawcie go! niwto go tak niekoho, jako jo. Umrem, zabijem sie — o Jezusicku, o Jezu!

— Puść mnie — dziewczyno opamiętaj się!

Ulisia aż się zatrzęsła z oburzenia i woła rozpacznie:

— Wicie jako hytro!! nie zna go! — wicie. On taki górol — krzyczy — jako jo gdowa — o Jezu!!!

Ocy to macie scyre — ani byk pomyślała, o haj! Juz mi ta nie mówcie. Jedy to pan wielmożny, bogaty — pise sie Tomasz Zaremba — jeno mu sie panskie zycie we dwoże ukotwiło, to se za owieckami hodzuje, a gware hłopskom, naskom zna piknie, co byś i nie uznał. Alek sie zwiedziała, ej raty! kohałak hłopa juhasa, a tu — mas! — pan.

O Jezu, myślałak co do psepasci skocem, po kwili osatałak sie — ze coz ta, w dziewcyne sie nie odmieni, tak wej myslała — ej Boze, odmieniło go ta inacy!! Odmieniło.

Nagle rzuciła się na kolana przed Krysią, czepiając się nieprzytomnemi rękoma.

— Jeno mu nie mówcie! cok wiecie o nim, bo to moja śmierć by beła, on by mi ta tego nie zabacył! niek mysli, co my obie bieremy go za hłopa, za górala rodowitego.

Krysia była jakby odurzona temi zwierzeniami dziewczyny.

To tak?! — uciekł od ludzi — ale czemu uciekł? Więc to nie góral! — coś jak lekka mgła żalu zasnuła jej świat, urok dzielnego juhasa rozwiał się. Uczuła prawie niechęć do tej dzikiej dziewczyny — jakby wstręt, odruchowo chciała się uwolnić od niej. Niecierpiała jej.

Juhaska ten odruch inaczej sobie wytłomaczyła. Oczy jej zapłonęły ogniem nienawiści, zerwała się i stanęła groźna przed nią na tle ogniska — jej twarz była teraz w cieniu.

— Ostawcie go!! — krzyknęła — bedem go bronic psed wami. Nie dom! — musi byc mój, aze do śmierci!

Pochyliła się ku pannie Krysi i jednym tchem mówiła szybko, nie dając jej dojść do słowa:

— Bośkał me — całował, pieścił w nocy na sopie — po piersiak me całował, aze me paliło, kieby ogniem piekł — wis!!

Panna Krysia słuchała ze zgrozą i wstrętem, a tak oszołomiły ją te słowa, że stała bezradna — osłupiała.

— Juzek myslała, co bedzie mój ze syćkiem, a ja jego — e Boze! co sie nie robi; przisel juz tu i na sope ku mnie — odmieniło go do znaku w ocymieniu, kiek mu pedziała, co go tak kohom, jako by go królowa nie kohała. Pobośkał me w coło,

jak siestre i posed. A ja rence gryzła od zolu — — zdało mi sie, co mi serce załość ozpucy.

Juzek beła mondra — on sobie o jakiejsi pannie psybacył, nie pomogło nic — — —

Na twarzy młodej panny wystąpiły silne rumieńce — drżała ze zdenerwowania. Nigdy nic podobnego nie słyszała, ani nawet przez myśl jej nie przeszło, że taką bywa miłość. To co mimowolnie wysłuchać musiała było — brutalne.

— Idź sobie — nic mnie ten pan przebrany za juhasa nie obchodzi. — Idź — bezwstydna jesteś. — — Och jakie to okropne, wstrętne!!

Juhaska oszalała z radości, całowała po rękach, mimo, że panna Krysia broniła się, usuwając od niej. Wkońcu Ulisia rzuciła się na kolana i łkała głośno, a szeptała nieprzytomnie.

Z oddali dolatywał gwar — tańczono koło ogniska, zawodziły juhaski namiętnie, a dziko, kobzy grały jakąś smutną, starodawną nutę.

— O Matko psenajświentsa, pokiel on nie bedzie moj nie bedem tońcyć, nie bedem nosować jedwabnyk hust. Przysięgam ci! Niek zginem, jako ten pies, kieby nie beło tak, jako ci pedziała — o haj! Strzymiem!! Cem ze by tu cie jesce uciesyc mogła, to me natknij. Juzek sycko wypsysięgła — pockaj — ni burśtynow, ni koroli! Nie boj sie nic, ja ta o nig ci nie pedziała w głos, ba, pomyślała. Dwajściaśtyry świec woskowyk dom, zaniesem ci sama ka fces — złociste — ej raty! Jeno niek bedzie hoćka tako, jako beło na sopie — — Jedy sama wis jako beło!

Panna Krysia chciała odejść, lecz ta dziwna modlitwa — ślubowanie Ulisine zatrzymało ją. Dziwiła się, że nie rażą ją te proste słowa — przeciwnie: zaczynała pojmować co to jest szalona miłość. Czy ona by mogła tak pokochać bezpamiętnie, na wszystko, jak ta juhaska?

— Tak wej bedzie!! — krzyknęła Ulisia i jednem szarpnięciem zerwała sznur korali; rozprysły się dokoła, osypały jej falującą pierś i kapały, jak krople żywej krwi. Zdarła jedwabną

chustkę i rzuciła precz od siebie. Szarpnęła gorset, wyszywany srebrem i cisnęła.

Szał ją ogarnął, chwytała powietrze ustami szybko oddychając — była wprost piękna młodością — i tem zapamiętaniem się.

— Ulisiu! uspokój się, może Bóg to jakoś odmieni — ty go strasznie kochasz?

— Na smierć, abo na zycie — szepnęła juhaska.

— Już teraz mi wierzysz, że nic mię on nie obchodzi? Nie bój się, nie zabiorę ci go — mówiła Krysia, a jednak z przykrością zauważyła coś w sobie. Co to mogło być? czyżby kłamała przed samą sobą? — —

Ulisia pełnemi oczami łez popatrzyła się na nią.

— Jako byk wam nie mogła uwiezyc, to by Boga musiało nie być na swiecie, — a nie gniewacie sie na mnie, panienko?

— Ależ nie gniewam się — za co?

— Jedy to prawda — do was nie miałak nic, jeno do tej warguli, co mi go fce zabrać — jeno nie tsa było mi tak śyćko — — Nie cudujcie sie — wybaccie, to wej sycko bez to udręcenie serdecne.

Krysia była bezradną, męczyły ją jakieś niejasne wyrzuty sumienia. Starała się jak mogła uspokoić góralkę, a jednocześnie czuła wyraźnie, że ten domniemany juhas zaczyna znowu nabierać dla niej dziwnego uroku.

— Ostańcie z Boge — zawołała raptem Ulisia i zniknęła jej z oczu. Krysia została sama.

Od ogniska padały dziwne blaski i cienie. Dwie kobzy grały na jakąś smętną nutę — juhaski zawodziły przeciągle, śpiewając to pojedyńczo, to razem:

„Oj, Krzýwaniu, Krzýwaniu!
Oj, coześ tak osowiał?“[4])

Od gór pociągał wiatr, zaszumiały smreki nawisłemi gałęziami nad jej głową, jakby dreszcz przeszedł po drzewach. Krysia ze zdumieniem spostrzegła dopiero teraz, że jest na brzegu lasu — który stał przed nią jak mur grodzący drogę w świat jej marzeń.

„Cý cie dyscýk polał,
Cý cie wiater owiał?“[5])

Zimno jej się zrobiło i czegoś straszno — poczuła się zupełnie samotną — opuszczoną przez wszystkich. Miała niczem nie umotywowane wrażenie odepchniętego człowieka przez ludzi. Była jakby poza nawiasem życia. Patrzyła teraz na siebie, jak na obcą kobietę, którą oszukano, wzgardzono, pozostawiając ją jej losowi. Poraz pierwszy w życiu zrozumiała, że można przypatrywać się sobie. Nieznanym był jej ten stan duchowego rozdwojenia. Z ciekawością obserwowała siebie i coraz bardziej olśniewała ją ta „obca“ — jakaś inna była. Krysia nie mogła znaleźć słów, które określiłyby, to co w tamtej wyczuła, to było coś jak tęsknota oczekiwania — —

Nagle usłyszała poza sobą szybkie kroki i znany jej głos Tomka przemówił.

— Niegze wyɓacom — sukałek was. Juhasy przynapite, a nie kciałek, co by sie htóry cepił was — bo to wicie cłek pijany, to kie dźwierz dziki, a naremny.

Nie odrzekła nic, poszła za nim. Wszystko się w niej uciszyło, nawet nie zdawała sobie sprawy z niedawno przeżytych wrażeń. Smutek owładnął nią i jakieś zamyślenie tak głębokie, że ocknęła się dopiero w szałasie.

Teraz nastąpiła reakcja — rzuciła się na przygotowane posłanie, naciągając na siebie gunie i serdaki, a nie czyniła tego z zimna, bo noc ciepła była — parna, ale z panicznego strachu. Chciała się skryć przed czemś — schować, nic nie słyszyć — nic. Komorę zaległa ciemność głęboka, widocznie baca kazał zagasić wielkie ognisko. Poprzez uchylone drzwi migotał mały płomyczek wygasłej prawie watry.

Krysia drżała, dygocąc jak w febrze, jedyną jej myślą było, żeby jaknajprędzej powrócił baca, którego gniewny głos słyszała przez ścianę.

— Co sie tu wyrabia?! — wont! — co by mi tu ani dymu po was nie ostało!

Cisza i znowu hałas, bieganina.

— Krotni miljońscy!! nie pedziałek co bedzie tego po dziurki w nosie! — grzmi wzburzony głos Bartłomieja Staszla - Swistaka.

Psy poszczekują, zgiełk się oddala — cichnie.

Wreszcie baca przyszedł, a widząc co się z nią dzieje, siadł na jej posłaniu i jak dziecko ucisza. Rozpłakała się.

— Nie płaccie panienko Krysiu — pogłaskał ją po głowie — za ścianom owiecki dzwoniom, to barz bedzie dobrze spać przy nik.

— Gazduś — prosi przez łzy Krysia — nie odchodźcie odemnie — ja się czegoś boję — — —

— Nie idem nika — odparł i poprawił ciemną gunię, a że go prosiła, jak rozkapryszone małe dziecko, więc opowiadał bajki:

— To wej pyta sie to dziewce Matki Panajezusowej, jako to uznać, ona odpedziała:

— Nondzie sie taki co cie zalubi za cały świat. Bedzie nosieł na sercu, na rencak, kany sie przypatrzys, on juz wi — uzna ku cemu mas wolom.

I tak zasłuchana zasnęła.

— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Gdy ze snu zbudzona jasnym promieniem słońca otworzyła oczy — zdumiała się. Była jakby w ciemnej pieczarze usianej mniejszemi i większemi plamami świetlnemi. We wszystkich kierunkach snuły się promieniste smugi; od stropu nad głową jej zwieszały się jakieś girlandy ziół silnie pachnących, a wokoło niej piętrzyły się trudne do rozeznania w ciemnościach przedmioty o tajemniczych kształtach i przeznaczeniu. Przez chwilę zdawało się Krysi, że szumi gdzieś niewidzialny odmęt morski. Dobrze jej było z tą nieświadomością, czuła się jak gdyby w zaklętym świecie. Przymknęła oczy. Wiatr szumiał, tonując metaliczny szmer potoku. Światło gasło, rozpływało się — i po chwili usnęła powtórnie, mimo że dzień się budził jasny, operlony rosą. Nie słyszała też skrzypnięcia drzwi, które się cicho odemknęły. To baca przyszedł zajrzyć — do panienki, za nim wsunął się Tomek i szepnął mu do ucha:

— Spi, nie zbudziła się?

— Jedy ślipie mos! — coz sie pytajom kie widzom — odpowiedział baca szorstko, lecz sam był zaniepokojony tak długim snem Krysi, bo zazwyczaj wstawała o świcie.

— Pockaj ozpuce ci kufe! — mruknął gniewnie Bartłomiej Stanel zły, bo pies zbudzony hałasem z cicha ciamknął — drzemiący.

Powieki śpiącej drgnęły — nie zbudziła się jednak. Przez chwilę stali obaj bez ruchu, wpatrzeni w uśpioną. Pierwszy z tego zapatrzenia ocknął się baca i pociągnął za rękaw Tomka.

— Pódź-ze! niek śpi.

— Psydem — odpowiedział.

Baca wyszedł i mrucząc coś pod nosem sam do siebie, jako zawsze czynił, gdy „trza było cosik uzdajać, coby się kupy trzymało“.

Tomek pochylił się nad śpiącą. Patrzył z takiem skupieniem, że aż zaczynało mu szumieć w głowie. Nie myślał nic, tylko patrzył.

Niespodziewanie jasna plama słoneczna padła jej na zamknięte powieki. Zląkł się, więc szybko zatkał mchem szparę — zgasła. Następnie wyjął z pod cuhy wiązkę kwiatów i położył na obońce przy jej posłaniu. Już miał wyjść, gdy szalona myśl mu przyszła do głowy: wziął jedną gałązkę złotogłowia i lekko podłożył pod bezwładnie spoczywającą rękę.

Czy że łodyga była wilgotna, chłodna od rosy porannej, czy też może liść zaczepił o palce, dość że zacisnęła dłoń i odruchowo przysunęła ku piersi.

Tomkowi serce zamarło — on nie chciał ją zbudzić. Przeraził się, więc chyłkiem wyszedł z komory, przymknął drzwi i siadł ciężko oddychając — rozmyślał. Bacy nie było w szałasie.

A jak się zbudzi z tym kwiatem w ręku, to co? Przecież i tak domyśli się, że od niego ta wiązanka. A czem on jest dla niej — juhasem-chłopem. Zlęknie się jego natarczywości i nie pójdzie z nim już nigdy w góry. O reszcie nie myślał — dla niego szczytem świadomych marzeń było pokazać jej turnie — stawy, zamarłe jeziora, i tak prowadzić w ten dzień słoneczny ponad przepaściami, tak jak wtedy, gdy jej to z turni Ciemniaka pokazał wschodzące słońce.

Miał, a właściwie świtały mu inne jeszcze pragnienia, lecz te były na pół świadome. Zdawało mu się, że jakaś ciemność zakrywa mu świat, a ona idzie samotna poprzez urwiste bezdroża.

Gorączkowy majak męczył go, tworząc obrazy pogmatwane, zatarte, a coraz bardziej nieprawdopodobne. Zerwał się i wypadł na dwór, omal nie przewrócił bacy, który właśnie wracał do szałasu.

— Ka lecis?! — cyk ci sie krew zapaliła! — złapał go za ramiona i patrząc w oczy zrzędził:

— Wto kce psewodnicyć, to niek se waruje, coby go nie nosiło. Psepaści som jest sieliniejakie, majom oczy władne. To se miarkuj!

Dutkował ci nie bedem — jeno to kciał ci pedzieć, co wartało, by jej cosi rzec — Ulisi — nie winowata nic. Cok cie wyonacyło? Jako ma być, tak bedzie — wis!

— Wiem.

— Hybaj do potoku, wraź głowę do wody, to cie zratuje. A pote żuc skolom w tom wode, a kie bulknie, bac kielo bulecek powietsa wyskocy i jako popłynom — haj. A kie puknom, to pzezegnaj ik ksyzykiem, jeno co byś nie pomyślał ni o niej, ni o Ulisi, ni o sobie, ni o psie — bo jako byś pomyślał o kim w te kwile, to ten wej umrzc, wis. Jako pote psydzies haw, a ozpowis to ci zeknę co bedzie — wier albo ni — zakończył baca i wszedł do szałasu.

Cicho było, wiatr czasem zaszumiał, to psy warknęły, zadzwonił łańcuch i znowu senny bezruch kładł się cieniami na dolinę. — —

Stary baca dreptał po szałasie to tu, to tam, jakoś nie mógł sobie znaleźć miejsca. Poprawił watrę toporkiem, aż wreszcie usiadł na ławie i kurzył fajeczkę, gasła mu, więc ją ciągle zapalał ukruszając żarzący koniec patyka. Czasem mruczał coś do siebie. Rozważał, spoglądając ku drzwiom komory, lecz nie dosłuchawszy się żadnego ruchu, ani szelestu zapadał w zadumę. Tak się zamyślił, że nie spostrzegł, jak wrócił Tomek i usiadł koło watry. Suszył przemoczony rękaw, aż para buchała, kłębiąc się z dymem przygasającego ogniska.

Dopiero po chwili ocknął się baca i zapytał go:

— Jako wysło co z tego?

— Płono — pomyślałek.

— Krotni miljońscy! je dyk wam panocku napedział — skrony tego.

Znać było po nim, że w swą wróżbę wierzy niezłomnie. Twarz mu się skurczyła, zmartwiała.

— O niej? — zapytał, wskazując ruchem głowy na drzwi komory.

— Nie, nie o niej — Et co tam! nie ma o czem mówić — machnął ręką.

— Jako wcecie — odpowiedział urażony baca — jeno to wam pedam, co wodne pisanie nigda me nie obałamuciło.

— No, no — dziwił się niby Tomek ale w duchu sam się teraz śmiał z siebie, że choć na chwilę mógł serjo myśleć o takiem głupstwie. Co innego miał w głowie — „na smierć abo na zycie" przypomniały mu słowa Ulisi, co to będzie! gnębiła go myśl. Miał wstręt do siebie. Rozpamiętywał teraz wszystko. Tak, lubił ją bardzo. Może więcej niż lubił — działała na niego, upijał się szałem, nie analizując, ani jej, ani siebie. Mógł ją mieć, lecz nie chciał, to było ostatnim odruchem sumienia. A jednocześnie zrozumiał, że wyrządził jej krzywdę. Nie mógł zaprzeczyć sobie, bo czuł wyraźnie całą niekonsekwentność swego stosunku do tej dziewczyny; to czem się teraz bronił przed sobą nie było wynikiem rozumowania. A zresztą gdyby nie nagła zmiana, która nastąpiła w nim z powodu Krysi napewno doszło by do tego.

Zawirowały myśli rozpaczne, ciężkie, był roztrojonym nad wyraz — jakaś ciemna chmura znowu przysłoniła mu świat.

Gdy tak rozmyślał, otworzyły się drzwi szałasu i wpadł goniec Maciuś. Zwrócił się do bacy i wetknął mu w rękę jakieś podarte, a zamoczone od rosy szmaty.

— Dajcie renke — wicie cok naloz za sałasem pod wantom! — tu wysypał coś czerwonego na wyciągniętą dłoń Bartłomieja Staszla.

Spojrzeli obaj po sobie — baca zaś westchnął:

— E raty, przeraty!

To były korale i poszarpany gorset Ulisi: znali go dobrze obaj, bo tylko ona jedna na halach rada się czasem odziewała bogato — taką miała naturę.

Przez myśl mignęły im najstraszniejsze przypuszczenia. Może ją jaki pijak przyniewolił? Ale nie, silna była — odważna. To nie! uspokoił się w duchu Tomek, Baca zaś, jakby kończąc jego myśli, ozwał się, uprzednio warknąwszy przez zęby do gońca:

— Idź w dyaski, a nie godaj nic — kazuję ci!

Goniec wyleciał zły, bo się spodziewał czego innego, a tu nic, i jeszcze go baca zeklął.

— To musi od zalu — jeno sama, bo by tu jej nifto nie wzion siełe ma, to by sie wybroniła. — — Głupie dziwce! — ej dziecko!! Od bólu to cłek — machnął ręką — musi widziała cie ka z panienkom Krysią. Dziwno mi jeno — pockaj, niek ze uzdajam se w głowie — mówił baca, rozprostowując podarty gorset na kolanie, korale odłożył na ławę. W świetle ognia czerwieniły się, jak nieskrzepła krew.

Tak byli zamyśleni, że nie słyszeli, jak z komory wyszła Krysia, a ujrzawszy nad czem tak rozmyślają, omal nie krzyknęła. Intuicją kobiety odczuła, co myśleć mogli. Zmaga się w sobie, bo nie chce kłamać, a jednocześnie nie jest w stanie powiedzieć całej prawdy — nie może. Było to skomplikowane uczucie: żal do niego — oburzenie, litość, a raczej współczucie dla Ulki. Przeszkadza jej duma dziewczęca; trudno jej mówić o sobie — tembardziej, że sama pragnie usłyszyć jakiś głos, któryby go usprawiedliwiał przed nią. Nagle postanowiła. Nie! ona nie może dopuścić, żeby myśleli coś tak potwornego o tej biednej dziewczynie.

Tak, widziała i słyszała płacz — ktoś cierpiał strasznie, wił się z bólu — przysięgał — — płakał — — Och to straszne — to z bólu tak potargała to wszystko na sobie i — — Nie! więcej nic nie powie. Niech się nie pytają.

Silne rumieńce wybiegły jej na twarz, Nogi się pod nią gną — chwieje się — siadła na ławie.

Jak przez mgłę widzi korale — krwawią się w ręku Tomka Kubińca, który odruchowo chwycił je, chcąc usunąć. Zaciska powieki, nie chce się przy nim rozpłakać. Czemu on nie idzie sobie, na co czeka! — Lecą łzy pomimo jej woli, zagryza usta z bólu, nie może znieść tego, że on patrzy — czuje to. Ostatnim wysiłkiem szepce:

— Idź! — niech pan mnie zostawi samą.

Z nim dzieje się coś strasznego, jeszcze chwila, a padnie na kolana przed nią i niech się świat zawali.

Baca zorjentował się i podnosząc głowę, mruknął:

— Niek idom do pola. My tu sobie damy rade — hybaj! Ale oczy domniemanego juhasa mówiły „nie pojdę“.

— Co byk ci nie przybacył — pokiel tu u mnie na bacówce toś juhas, a ja baca — i serdecznie — icie panocku!

Zrozumiał i wyszedł, już nic nie mówiąc, jeszcze raz tylko chciał spojrzeć na Krysię — odwrócił się i jakby go tysiące słońc oślepiło — ona gładziła białą ręką złotogłów — oczy miała spuszczone, jeno rumieńce to zapalały się, to gasły na jej pobladłej twarzyczce.

Wyleciał, jak szalony, aż mu wiatr szumiał w uszach. Biegł przed siebie, póki nie osłabł. Padł twarzą na zieloną ruń. Ocuciło go wreszcie słońce — a może turlikanie dzwoneczków owiec, co się pasły po turniach, a upłazach.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

W szałasie po jego wyjściu zapanowało długie milczenie. Na szlachetną twarz Bartłomieja Staszla padł cień smutku. Rozumiał on dobrze, że musi się przecież wcześniej czy później skończyć to wszystko jakąś zmianą. Wiedział o tem, lecz nie chciał nic ułatwić. Obca pomoc wydała mu się nietylko złą w tym wypadku, ale wręcz niebezpieczną dla dalszego losu tych trojga ludzi, uwikłanych w życie. Męczyło go milczenie, a jednak nie odezwał się do Krysi ani jednem słowem. Czekał z niepokojem na którą stronę przeważą jej myśli.

Krysia siedziała z nieruchomo wpatrzonemi oczami w jeden punkt; jakieś odrętwienie sparaliżowało jej myśli. Była jakby na progu nieznanego jej świata, w który miała pójść,

Stanęła na granicy dotychczasowego życia i zabrakło jej sił — może odwagi by ostateczną decyzję przyspieszyć, a jednocześnie przeczuwała, że właśnie już wszystko jest przesądzone.

Raptownie napięcie myśli ustąpiło. Odetchnęła głęboko, jak zwolniona z gniotącego ją ciężaru. To dzwonki gdzieś się ode-

zwały zgiełkliwym klangorem — orzeźwił ją ten dźwięk, opanowała się i po chwili swobodnym głosem spytała:

— Dawno gazduś znacie pana Zarembę?

Ocknął się na to pytanie baca Staszel i zaczął opowiadać, co i jak było. Mówił jakby fragmentami, czyniąc swoje własne uwagi nad ludźmi i życiem:

— To wicie tak, złoto progujom cy sprawiedliwe jakimsi kamicniem, zabacyłek jako go zwom, niek ze — jakosi cudacnie. To myślałek nad tem, jako by mozna ludzi ozeznać. Jak myślem, tak myślem — to wej wymyśliłek. Co ludzi barz dobze progować górami. Ze to wicie jako cujom w nik jednako, to hej! A jako ni, to jedno kce iść dołu, a drugie na grań by rade. Jedno sie gmami ciesy, a drugie labidzi co moknie.

Krysia słuchała z rozczuleniem; te proste słowa starca olśniły ją mądrością, zdumiewał ją ten góral-filozof co za najlepszy sprawdzian ludzkich charakterów uważał naturę — góry. Jeszcze potem długo mówił o życiu mądrze i serdecznie, a ją chwyciło takie rozczulenie, że nim zdążył cofnąć się, pocałowała go w rękę. tak ten starzec był jej prawie najbliższym z ludzi — prawie.

— Zje cóz ty robis dziecko!! — siwe oczy zaszkliły mu się — cóz ty robis! — powtórzył, całując ją w czoło.

Zalubiłek cie jako rodzonom — e Boze!

Przytuliła się do niego i szeptem się pyta:

— A cóż będzie z Ulisią? ona go tak kocha — —

Zasępiła się twarz bacy, pogładził ją po głowie i mówi:

— Nie nasa w tem głowa, juz Bóg ozsądzi syćko sprawiedliwie — on ta juz wi — jako bedzie za tysiące roków, jeno my nie zdolem uzdajać sobie co bedzie za kwile!

— Boję się czegoś gazdusiu, tak smutno mówicie.

— Co kces dziecko, jako ci pedział, to wej tak bedzie.

— Jak?

— Nie tsa panu Bogu Wsekwładnemu zaglądać w niebieskie pisanie. Jak bedzie cas, uznamy, co ozsądził swojom świentom mądrością — o haj!

· Zamyśliła się Krysia nad tem, co usłyszała od starca i coraz smutniejsze myśli napływały jej do głowy, zmieniając się, wciąż — nikły, nie wyjaśniwszy nic.

Baca zauważył zmianę, jaka nastąpiła w niej, lecz nie starał się pocieszyć, zmieniając znaczenie poprzednio wygłoszonego zdania.

Nagły szum zmącił jej marzenia, szum głuchy, przeciągły. Zerwała się przerażona.

— Juz ja ta cuł, ze bedzie — mruknął baca.

— Co? — co? — zaszeptała.

— E — dziecko, nic ta! — Powietse sie ruso — bedzie holny. Pódzi obacymy, co bedzie. Myslałek, co se posed kajsi, a on wej tu!

Wyszli przed szałas, ale mało co było stąd widać, więc poszli ku szopom na górkę skąd „barz piknie widno, jako bedzie jehał“ tak utrzymywał baca.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Słońce już chyliło się ku zachodowi, sypało całym snopem promieni; zaróżowiło posępne szczyty turnic. Cisza była uroczysta. Cień nadchodzącej nocy zacierał resztę złota na ciężkich ołowianych chmurach, które, rozwłócząc się po niebie, roztrącały się wzajemnie. Płynęły wolno z powagą, zamykając cały widnokręg swym zwartym łańcuchem mar podniebnych. W końcu skłębiły się w wał potworny, ponad Czerwonemi Wierchami.

Teraz już tylko w jednem miejscu słońce, przebiwszy się przez chmur szary całun, jaśniało purpurową łuną, jak gdyby dalekiego pożaru. Trwało to parę chwil. Na to jedyne wolne miejsce nadpłynęła chmura o potwornych konturach widziadła i zgasiła — zakrywszy sobą — dotychczas jedyny nieprzysłonięty skrawek nieba.

Nadciągający wiatr halny odniósł zwycięstwo.

Tak się zdawało, bo czoła turnic nagle zapłonęły rubinowym blaskiem, tak silnym, że aż — rażącym, jak by je ktoś podpalił, a nad niemi kłębiły się chmury, jak dymy potwornych pochodni.

Góry płonęły — cała natura przybrała jakąś groźną podstawę — to rozpoczynał pochód swój — halny.

Zaszemrał wiatr — jęknął — zadął potężnie, wpadł na szeregi zwartych z sobą chmur — znowu ucichł. Nabrał rozpędu i parł całą potęgą — —

Drgnęły, zafalowały chmury, parę lżejszych obłoków wybiegło na zwiady.

Cisza — — —

Znów zadął — targnął szeregiem podniebnych mar — runęły i wpadły spiętrzone z strasznym impetem na gorejące wierchy. Góry przygasły, lecz nie dały za wygrane. Potężne turnie Ciemniaka stały niewzruszone, roztrącając skłębione chmury.

— Pocie! panienko Krysiu. Już my się tu dość mu przypatrzyli, niek se duho, kie mu ś tem dobrze.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Zaraz po zachodzie słońca wrócił Tomek Kubiniec.

Nie mówili do siebie nic, tylko oczy ich spotykały się często.

Późnym wieczorem zerwał się raptem, podszedł do Krysi, pocałował w rękę i wreszcie przemówił:

— Baco, musem isc do Małej Łąki.

— No — odmruknął mu Bartek Staszel.

— Nie bójcie się nic, hoćka byk się nie hnetki wrócił — mam cosi tam rzec — — a jak się tego zbende, to bede spokojny. Z zamyśloną głową, to jako wiecie nieporada przewodnicyć!

Ostańcie z Bogiem.

— Boze cie prowadź! — odpowiedział mu baca.

Poszedł.

— Jeno złodziej ucieko — on ta nic nie ukrod — a ze kzywda się stała, to jom kce odrobić.

Mówił spokojnym głosem Staszel do Krysi, która nie mogąc ukryć zdenerwowania, patrzyła na niego wystraszonemi oczami.

Na dworze wył przeraźliwie wiatr halny, rwąc i łamiąc wszystko po drodze — to słabł, to znowu z wielką siłą, a hurgotem niósł się ponad doliną, dudnił nad bacówką, tłukł się o ściany, świszcząc i jęcząc przez szpary — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tomek nie słyszał nic, biegł coraz prędzej, leciał ciemnymi lasami, aż mu się smreki usuwały z drogi.

Bór grzmiał, rwany wichurą; gęsto padały drzewa, waliły się pod naporem halnego, jak gdybyś w sto chłopa rąbał.

Wpadł w gorący prąd; przed nim czerniały sylwety szałasów. Zwolnił kroku; zaciążyły mu myśli stłoczone chaotycznie, nawet nie próbował się bronić. Tak doszedł do Ulisinej szopy.

Poprzez szpary ścian świeciło tlejące, małe ognisko. Teraz dopiero przeraził się. Noc. Ona pomyśli, że przyszedł ku niej — — Już było za późno cofnąć się, Ulisia otworzyła drzwi z zasuwy, nie czekając, aż zaburzy, musiała go zobaczyć przez szparę. Wszedł.

Ona oparła się plecami o ścianę, dygocąc, jak w febrze. Pozdrowił ją, uścisnęli sobie ręce — milcząc. Siedli.

Czuje na sobie jej oszalałe z kochania oczy. Widzi, jak usta jej otwierają się, ale słowa z siebie dobyć nie może. Patrzy tylko — całą duszę ma w oczach.

Myśli mącą mu te oczy wpatrzone, dławi go lęk, żal — obłęd czai się w zmęczonym mózgu. Uświadamia sobie, że jeśl to dłużej potrwa, zwarjuje! Milczenie staje się coraz bardzieji złowrogie, coraz trudniej mu przemówić do niej, a tu z każdą chwilą słowa coś odmienia w kamienie, ciążą mu niewypowiedziane nad siłę, nad ludzką możność.

— Cosi ci kciał zec Ulisiu, jino niek — —

— Jedy mało mi serce nie puknie, tak cekam. Aze mi sie widzi cok umarła, a potocek sumi kie te niebieskie śpiewanie.

— Ulka a nie gniewas sie na mnie, co tak barz późno prziseł ku tobie.

— Ze cóz to? Wis, cok cie rada zanocujem, raty na świecie. Jaby ku tobie na kolanak sła!!

Na te słowa zmartwiał. Widzi, że złą obrał drogę, lecz jak tu mówić? — Zamilkł więc i szuka wyjścia z tego zaklętego koła słów i omamień.

— A nie głodnyś? Mleka ci dom. Abo wis, herby ci uwazem!

— Jako mas wolom, Ulis, rad wypijem — zyskiwał trochę czasu.

Ona zakręciła się i wypadła do pola po wodę. Potok był daleko w dole.

Został sam i rozmyślał, jak tu zacząć. Już mu się zdawało, że coś się w myślach nawiązuje, gdy w ciszę nocną buchnął śpiew gorący, jak ten wiew halnego, namiętny aż do bólu — szalony. Słychać było wyraźnie nieomal każde słowo, bo właśnie była cisza między jedną, a drugą falą wichury. A potem ten straszny krzyk, rozdzierający, jak sama tęsknota pożądania — — —

„Kiebyś ty tak za mnom, jako jo za tobom,
bylibyśmy, Tomuś, kazdom nocke z sobom.“[6])

Zmąciły mu się do reszty myśli. Głos się przybliżał — wracała.

Psy na bacówce zawyły ze snu zbudzone. Wichura zerwała się znowu hucząc, a dudniąc, aż cały szałas się trząsł. Poświsty wiatru stawały się coraz gwałtowniejsze. Trzeszczały krokwie dachu, skrzypiały wiązania pod naporem gorących fal szalejącego powietrza.

Nerwy mu drżały, jak struny nieustannie targane. Nie był już w możności panowania nad wzrastającym rozstrojem. Jedno tylko wiedział, że trzeba z tem skończyć. Umęczony mózg nasuwał mu gorączkowe widziadła. A jak się pchnie nożem? — albo jego? A niech pchnie.

Nie mógł dać sobie rady. Wstał i machinalnie zaczął utykać szpary mchem, który wiatr wypchnął.

Drzwi otworzyły się i wpadła Ulisia wraz z gwałtowną falą halnego. W tym samym momencie poczuł gorące jej ciało i wypukłe piersi — tuliła się do niego, silne ramiona owinęły mu się koło szyji. Wilgotne usta szukają jego ust.

Ostatnim wysiłkiem odwrócił głowę, lecz ona przegięła się całem ciałem i wpiła się w jego wargi z taką siłą i wściekłością, że aż mu w oczach zaćmiło. Wola jego słabła w tym pocałunku, w którym był szał zmysłów, szał kochania i szał halnego.

Wreszcie oderwał ją od siebie i prawie nieprzytomną posadził na ławie. Postanowił niezłomnie za wszelką cenę skończyć ostatecznie tę męczarnię.

— Słuhaj dziewce — wis, co cie barz lubiem, jeno krzywdy twojej nie kcem — —

— No?!

— Nie kcem — powtórzył.

Zerwała się i wpatrzona w niego — znieruchomiała.

— Kie byk cie kohał, to ta już niek by beło. — Rad cie widzem i sanujem jak siostre, boś prawe dziewce, jako mało ftóra. Lo tego przysed haw, skrony tego, cok ci winowaty beł — jako to wis — —

— Tomecku — szepce cicho Ulisia, a strach ma w oczach.

— Jeno me nie bośkaj — odsunął ją lekko. — Zalubiłek innom — —

Rzuciła się ku niemu z rozpacznym krzykiem:

— Jedy ty mój!!

— Ni — —

Zje ba, jakoz! jedy ty mój!!

Objęła go za nogi, całując bezpamiętnie, szepcze:

— Oddałak ci sie Tomecku bez to miłowanie serdeczne — toś mój, jako i jo twoja — płacze.

— Słuchaj, ja nie góral, ale pan przebrany.

— Ej Boze, pan Zaremba! Ady wiedziałak dawno. — I cóz ś tego. Zalubiłak juhasa, a pote pana. Na śmierć, abo na zycie. Bedzie jako fces — kochankom bede wierna, jako pies — jeno me nie odganiaj!!!

Nagle zmieniła się, przycichła, zerwała się z kolan i napozór spokojnie mówi:

— Wto to? Niek wiem — mów! wto cie ocarował?

— Nikt mnie nie oczarował.

— Dziewcyna — panna, cy jako? Młoda? Urodna? Pockaj — a nie wis jako jom zwą?

To ci powiem: Krystyna — Krysia — —

— Zkąd wiesz?!

— Ej raty, pockaj Krysiu! To ty go bieres? To wej tak — — —

Kiebyś beł góral, to by cie ostawiła — hańbiła by sie, jako ty sie mnie hanbis!

— Ulka — szepnął zgnębiony.

— Jo jeji pedziała, coś taki juhas, jako ja gdowa!!

Milczy, czując, że mu się ziemia z pod nóg usuwa.

— Śtego nie bedzie nic! Zabijem ją, abo co zadam, co pomre jako od pioruna.

— Waruj się!! Mnie możesz zabić — bronił się nie będę, ale ją nie! Co ci uczyniła złego?!

— Zabiła me — nie rozumies?!

Siadł i bezmyślnie patrzył w ogień, był bez woli, bez sił. Nie rozumiał, co do niego mówi. Czuł, jak w szale rozpaczy przyłożyła mu nóż do piersi, jak się pyta o coś.

— Kohas jom? — musem wiedzieć.

— Kocham — zabij — szepnął, prawie tracąc świadomość, co się z nim dzieje.

— Tomecku! Tomuś!!!

Nóż wypadł jej z ręki, zadzwonił na kamieniu i wpadł w watrę, aż skry się posypały.

Otworzył oczy i ujrzał Ulisię zalaną łzami. Klęczała przed nim, tuląc sie do kolan.

— Takoś jom zalubił? Cemu nie mówis?!

Kiwnął głową.

— Ej wiera, fcem, a nie mogem uwierzyć, coby cie kohała, jako jo cie koham. — O Jezu, Jezusicku!! Jedyk sama ani myślała, co mozna do telo zalubić!

Pobierzecie sie — — Nie wis — a cóz bees robił ś niom! Kany ona?!

— Na szałasie.

— Na sałasie u Bartka?!

Zatrzepotały jej powieki, ale zdusiła płacz w sobie.

— U bacy — szepcze jakby do siebie. — O raty na świecie! — Kieli to halny — sumi! tyz sumi, kiebyś syckie potocki złącył w jedno, — Tomuś lubis me?

— Barz lubiem — bardzo!!

Zapłakała cicho.

— Bardzo cię lubię, Ulisiu.

— Siestre mos?

— Nie mam.

— Ani ojców — jeno to dziewce zalubione — —

— Ją jedną.

— Jeno, jom jednom — ej raty! — jednom mówis?! — Bez cóz to zycie tak me onacy — nie mogem wiedzieć. Jeno cujem cok nie winowata — nicemu.

Zakryła oczy rękami — milczy.

— Uliś! —

— Cóz fces?

— Ja nie mogę tak odejść!

— To sie ostań!! — krzyknęła — jako mas wolom.

Zapanowało długie milczenie.

— Ona wi coś haw?!

— Wie.

— No — jako tak, to ci tsa iść ku niej — i szeptem: — a kie juz tako na niom padło co cie zalubiła, nie tsa, coby ją strah umęcył. Kohałah cie i bedem kohać — bez to ni jej, ni tobie nie zrobiem nic!

— Uliś! — Ulka! — — Ulisiu!!

— Nie mozes być ze mnom scęśliwy, niegze bedzie ci ś niom radośnie.

Nagle zatoczyła się i krzyknęła:

— Kieby hoćka dziecko s tobom miała — o Jezu! kohała by go za świat cały — bo beło by twoje!!

Nagle przypadła mu do nóg, jęczała, całując po rękach.

— Ulisiu... uspokój się! na miłość Boską — Uliś!!!

Odsunął ją łagodnie.

Dysząc ciężko, dźwignęła się z ziemi.

— Idź Tomecku. — Hoćby sie gryzła, hoćby — ej, Boze wsehwiedzący!

Idź, bo sie spale!! — krzyknęła dziko — rozum me odeszed — nie słuhaj, jako bym cie wołała ku sobie — jedy suke jak bijom to skomli.

Podszedł ku niej z wyciągniętą ręką.

— Nie bój sie nic o mnie — bedem zyc.

— Moze cie kie obace — musem zyć jako ten pies na łańcuchu.

Ulisia z szeroko rozwartemi oczyma patrzyła w niego. Usunęła się pod ścianę i przez łzy, wstrzymując łkanie, krzyknęła:

— Idź z Pane Boge!! Nie tykaj me!!!

Zatoczył się jak pijany — wyszedł. Przystanął i nagle począł biec bez kierunku wprost przed siebie. Jak ciemne pomniki migały mu teraz szopy i szałasy. Huragan porwał go swym prądem — grzmiał, szamocąc się ze smrekami. Waliły się czasem z łoskotem, grodząc mu drogę — szedł, nie zważając na nic.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Gdy się drzwi zamknęły za Tomkiem, osunęła się Ulisia na ławę. Straszny ból zatargał jej sercem, jakaś gorąca łuna zasłoniła oczy.

Zrozumiała jasno, że odszedł od niej — na zawsze.

Przed nią roztworzyła się przepaść czarna, bez dna. Wpatrzyła się w nią nieprzytomnemi oczami — zamarła.

Ocucił ją wiew przejmujący, rozdmuchał wygasłą watrę, aż dymy się skłębiły. Zerwała się. Drzwi były szeroko otwarte, a przez nie snuł się dym do pola i kłębił, tworząc wał.

Nastała niesamowita cisza. Dym opadł na ziemię i z przerażającą szybkością wydłużał się, jak potworny wąż i pełzł w górę doliny, ku turniom Giewontu i Małołączniaka.

Ulisia patrzyła, nie mogąc pojąć, co się dzieje. Jakieś niejasne wspomnienia majaczyły jej, jak zatarty obraz, a gdy usiłowała zdać sobie sprawę z tego co widzi, jeszcze bardziej zacierał się. Dopiero powoli rozjaśniały się myśli i wracała świadomość.

Zaczęła biec co sił. Tuż przed nią pełzł wąż dymu. Jakaś zabobonna trwoga dławiła ją za gardło, chciała krzyczeć, a nie była w stanie nawet ust otworzyć. Wał zatrzymał się, jakby zmieniając kierunek, choć cisza była ogromna — bezszelestna.

Dym przed nią gęstnieje, kłębi się, jakby ktoś szedł. Widzi teraz wyraźnie suchą twarz nieboszczyka dziadusia, jak pochylony idzie zwolna przez doliny jej nieznane. Idzie przez śniegi spad-

łych lawin, zdala ciemnieją lasy, a ponad nimi urwiste, a strome szczyty gór.

Księżyc oświetla śniegi po żlebach, w głębi ciemnieją omszone urwiste grzędy skał. Z poza grani wyziera, wije się, przewala w pomroce potworne cielsko chmur. Po skałach kładą się głębokie cienie, gdzieniegdzie łyskają występy skalne jasnemi rysami.

Ulisia chce biec do dziadka, lecz słania się, jest bez sił, bez woli. Na ramieniu czuje ciężar ręki niewidzialnej, która ją wstrzymuje w miejscu i widzi, jak potworny wąż zawrócił od turnic Małołączniaka i pełznąc z powrotem, opasuje ją dokoła. Jeszcze moment — zamknął ją w czarodziejski pierścień.

Przymknęła oczy, nie może znieść tego — koło opasujące ją, jakby się toczyło, zanikając jednocześnie.

Czuje zawrót w głowie, boi się otworzyć oczu, palą ją powieki, gryzie dym pachnący żywicą i jakiemiś dziwnemi ziołami; chce iść naprzód, a wbrew swej woli, instynktownie się cofa. Świeże powietrze orzeźwia ją, kłębowisko unosi się ku górze i rozsnuwa się, jak mgły wieczorne, pełznąc po turniach Małołączniaka.

Migocą jej świetliste kręgi przed oczami i pełznie cień z poza tych jaśnień, zmieniając się w jakąś postać, co się pnie po stromej ścianie. Najwyraźniej widzi jakieś gzymsy, urwiste półki skalne. Słyszy szelest sypiącego się piargu i grzechot walących się w przepaść kamieni.

Ktoś idzie, wspina się, czepiając kurczowo stromej przepaścistej ściany. Pod nim w głębi, w cieniu, zawalona rumowiskiem dolinka — pusta, dzika.

Rzuciła się z krzykiem — poznała —

— Jezu!!! — rwie się jej straszny krzyk.

Oszalałe oczy śmiertelnym strachem wpatrują sie w cień zasnuty lekką mgłą. Zamiera Ulisine serce nadzieją i trwogą. Pada na kolana.

Cień oślizgnął się, oderwał od ściany i spadł bezwładnie w skłębione mgły.

Od turnic Małołączniaka doleciał ją stłumiony krzyk — ostatnie wołanie o pomoc — — —

Zdawało się Ulisi, że cały świat runął — zawalił w przepaść. Nie czuła już nic, jej martwiejące oczy zasłoniły się mgłą, poprzez którą widzi jeszcze straszliwą pustą dolinkę.

A wśród wielkich złomów skalnych, starością omszałych, snuje się lekki dym przejrzysty.

Nad martwem ciałem zabitego pochyla się jakaś biała postać.

Obłędny ból na moment przysłonił jej wszystko, rozpacznym skurczem rąk ciśnie skronie. Łuny czerwone oślepiają Ulisię — gasnąca świadomość strzępi obrazy — rozsadza myśli, z których tworzy się potworna zawierucha. I widzi, jak kościste ręce starca szukają czegoś na piersiach Tomka — zabiera mu „spinkę".

Powoli odchodzi, ginie — jak cień.

Zeszkliły się Ulisine oczy, ustało bić serce. Jeszcze ostatnim wysiłkiem dźwignęła się, wyciąga ręce — ogarnia ją chłód i cichość bezpamięci.

Fałków, 20. IV. 1923.

V.

RUSAŁKA


IK

— Co tam moja „Rusałka“! Toż to może niezły fragment — może — ale doprawdy ja czuję wyraźnie kłapanie klawiszy. To nie jest twórcze dzieło. No nie, daj mi spokój, proszę. Mam żal do ciebie, Stachu i do pani, poco było mnie namawiać — poco!? — mówił zdenerwowanym głosem Roman Wertołd, odwracając się od fortepianu w stronę przyjaciół.

— O przepraszam — przerwał im porywczo, gdy usiłowali mu tłumaczyć, że „Rusałka“ jest bezwarunkowo pięknym i oryginalnym utworem muzycznym — to nie żadne nerwy, ani przerafinowanie, lecz najszczersza prawda. Tak, mam odwagę powiedzieć głośno, że ja nie tworzę, — żem nie zdolny dać tego, co się zwie arcydziełem sztuki — irytował się Roman Wertołd.

Raz słyszałem mistrza nad mistrze, ale gdzie? — no tak, naturalnie, — na koncercie, przecież nie u niego. Grał własną kompozycję „Sonatę Jesienną“ — zresztą, to nie ma nic do rzeczy. To było coś naprawdę porywającego. Mimo, że wszyscy wiedzieli, że genjalny człowiek grać będzie, lecz czegoś podobnego nikt z nas się pewno nie spodziewał: Zadziwił nas wszystkich — oczarował.

Już po pierwszych akordach sala zamilkła — szmery rozmów ustały. Cisza.

Naraz — jak gdybyś słyszał wiatru wiew przedświtowy — mroczno jeszcze, coś tylko szemrze — jak słowa cichej modlitwy zbudzonych pól.

Silniejsze akordy — melodja płynie, jak ciche wody potoków.

Wydaje się, że — za chwilę ozwą się echa gór. Cichnie: to wiatr się gdzieś zatrzymał — hen nad krawędzią przepaści — a może na szczycie rozplątuje mgły —

Zadrgała pieśń jękiem rozełkanych strun — targnęła skargą.

Mistrz zawładnął tłumem, wprost zdawało się — tuli myśli nasze.

Czułem, jak gdyby grał na jakichś nieuchwytnych strunach duszy.

Cicho — poważnie płynie smutna opowieść — już nam myśl okuł w kajdany tęsknoty.

Drżą struny bólem, pieśń coraz śmielsza powstała z tej harmonji dźwięków — — — cichnie zwolna — — — zwolna — przesila się, ginie.

Już prawie jej nie słychać — już zda się, że westchnieniem ulgi się prześni.

Nie zcichła — potężnieje — wprost przytłacza ogromem.

Myśli pierzchnęły, jak gdyby roztrącone krzykiem rozpaczy, co w dal uleciała.

To już nie na strunach ta pieśń rozbrzmiała jękiem, to już zda się na naszych duszach mistrz gra.

Czułem — wprost zdawało mi się, że ze skrzypiec ku nam rozbiegła się niewidzialna sieć strun, jak gdyby promieni — to on tak nasze wypełzłe myśli smutne nawiązał czarem melodji na struny i gra — i gra — — —

Szumią lasy, rwane wichrem nadciągającej burzy — grom się głuchy przewalił — cichnie — — po sali rozległy się echa i zasnęły —

Cisza.

Słychać jakieś jęki, szepty — słychać wołania — a echo powtarza.

Załkały przeciągle struny, mistrz nasze myśli znów targnął i trzyma na wodzy — —

Szum — szum dokoła, lecą liście z drzew — liście jesienne. Kłębią się w złoty tuman — — lecą hen gdzieś z zawieruchą — wiatr wieje — cichnie — zwolna, pomału. Jakaś ulga spływa nam w duszę w graniach rozpłakanych strun.

Deszcz pada jesienny — cichną wiatru szelesty. Deszcz pada, po polach rozsnuła się mgła — cień, pełznie przez miedzę — zwolna — — zwolna — —

Pieśń cichnie powoli — pomaleńku.

Mistrz już tylko trąca lekko struny — błyskawicą smyczka zatraca dźwięki w echowe grania — i te cichną, jak gdyby senne. — Cisza. — — — — —

Już grać przestał — i ręką strudzoną przetarł czoło, jak gdyby z snu się budził.

Cisza na sali, jakaś dziwna, jakby chwila czegoś, co się stać ma, nadeszła.

Cisza — w oczach błyszczą łzy — czar trwa — panuje nad zamarłą w bezruchu salą — — tłum czeka — — — —

— No, masz dar opowiadania, nie od dziś, to wiem, ale to com usłyszał, jest dla mnie niespodzianką — tak, wyobrażam sobie, po mistrzowsku grał. Wiesz, Rom, nawet twoje opowiadanie było wprost melodją — to były echa —

— Mój drogi, tu słowa bezsilne, nawet cienia czaru oddać niezdolne — ja tylko czuję, nazbyt silnie czuję — lecz to com mówił, jest zaledwie słabem echem pieśni, która mi w duszy ożyła. Słowa zawsze są twarde i łamliwe w dźwiękach, by można niemi osiągnąć harmonję taką, jak daje muzyka.

Panna Lili Turkułówna nerwowym ruchem odwróciła głowę.
— Wierzę panu — szepnęła — i mam dziwne uczucie, trudno mi wysłowić — co czuję, lecz odniosłam wrażenie, że mistrz był jednak bardzo dla was łaskawym, bo skończył swą pieśń — echową kołysanką: echa grały — — a miał władzę, mógł was zdruzgotać, on echem zakończył, sam ból złagodził — rozwiał snącą pieśnią.

Przez chwilę panowała cisza. Słońce padało ukośnymi promieniami do salonu; — po ścianach zamigotały złote, jaśniejące plamy, zmieniały miejsce, jak wiatrem spłoszone motyle. Jeden przemknął po czole i ustach młodej dziewczyny — drgnęła ocknąwszy się z zamyślenia.

— „Skąd Litwini wracali“ — zawołał Wertołd, który w ten sposób miał zwyczaj drażnić się z przyjaciółką.

— Ach, jaki pan nieznośny!

— Spłoszyłem marzenia.

O to mi się właśnie rozchodziło: nie lubię, gdy pani błądzi nad Niemnem w mojej obecności.

Albo się ma przyjaciół, albo nie — ja tu siedzę prawie że blizki rozpaczy z powodu mej „Rusałki", a przyjaciele — ani mrumru, są przekonani, że taka cisza dobrze mi robi.

— Oho, już się zaczyna — czemu wy się tak wciąż kłócicie ze sobą? Dam wam dobrą radę — ślub można dostać za indultem: odrazu skończą się te wycieczki — żartował Orszewski, zwracając się do obojga.

Wertołd, który nagle wpadł w doskonały humor, odpowiedział, udając zrozpaczonego: — Kiedy widzisz to jest wyrodna Litwinka, niby tęskni za Niemnem, za tą swoją ojczyzną, lasami szumiącą, ale woli śpiewać nad Adryatykiem — a już ostatecznie gdzieś w Alpach — co zresztą jest zrozumiałe, bo za czem by wtedy tęskniła?

— Uważam, że pan staje się z dnia na dzień nieznośniejszym i to od czasu swoich wycieczek do Czarnego Stawu. Nie wchodzę w to, ale co do mnie, to mam pewne powody, które zmuszają mnie do podróżowania — co jak słusznie zauważono i złośliwie — działa dodatnio, bo tęsknię za Litwą. a był czas, żem za niczem nie tęskniła. Panie Stanisławie, gdzie pan wychodzi? — zwróciła się do Orszewskiego.

— Jakto gdzie? — jutro idę na wycieczkę, muszę odpocząć, a zresztą nigdy nie lubię być świadkiem serdecznych wynurzeń.

Panna Lili Turkułówna chciała wstać i odejść, lecz Wertołd zerwał się i zaczął prosić, czując, że mimowoli zrobił jej przykrość.

Rzeczywiście — od pewnego czasu czuł się przygnębionym; sam nie umiał zdać sobie sprawy, czego chce od siebie i ludzi.

— Błagam, proszę zostać — zrobię, co pani chce, choćbym miał grać „Rusałkę"!

— Dobrze, zostanę.

Siadł z rezygnacją i grał — od czasu do czasu pytając, jak dziecko rozkapryszone: czy dosyć?

Był odwróconym od niej, więc nie mógł widzieć dziwnego uśmiechu, z jakim na niego patrzyła.

W miarę jednak, gdy od początku zaczynał tę smutną, jakby na fujarce graną pieśń — uśmiech jej gasł — zwolna, a oczy nabierały wyrazu przestrachu — zdziwienia, jak gdyby widziała przed sobą coś, czego się lękała.

Nie była w stanie zapanować nad sobą i cicho wyszła z salonu zanim grać przestał.

— Czy jeszcze? — spytał Wertołd, lecz nie otrzymawszy odpowiedzi, odwrócił głowę i zobaczył, że grał sam dla siebie.

Noc była chłodna, wyiskrzona gwiazdami, bezwietrzna, cicha. Słychać było gdzieś z oddali szmery rozmów, to ktoś szedł po schodach na górę, po chwili zamilkł i ten jedyny znak życia. Pogasły światła w sąsiednich domach, tylko jak oczy zmożonego snem człowieka mrugała słabym światłem latarnia w niewidocznym labiryncie uliczek. Lili siedziała przy otwartem oknie, zapatrzona w cienie, które się słały od smreków rosnących koło willi. Cień pełzł powoli ku szumiącemu potokowi i słał się leciuchno kołysany na falach. Załamywał się, drgał, targany prądem, lecz nie niknął, przeciwnie, coraz wyraźniej przecinał drogę górskiego potoku.

Była tak zmęczona wewnętrzną walką z sobą, że wszystko ją przerażało — więc i teraz ogarnął ją lęk przed pełznącym cieniem; zamknęła okno i zapaliła światło, na razie dodało jej to otuchy. Tak potrzebowała dziś pomocy, a tu nawet słońca nie było przez cały dzień — to do reszty ją wyczerpało. Kto jej mógł pomóc, przecież to, co chciała uczynić było szaleństwem w samem założeniu.

Owładnął nią lęk.

A jednak był czas, kiedy czuła, że ma siłę, uwielbiały ją tłumy — burza oklasków zrywała się za lada pobłażliwym jej uśmiechem, rzuconym zdawkowo — sypały się kwiaty — — tak był czas — kwiatami tłum chciał utorować sobie drogę do niej. —

Elegancki czarny tłum, lśniący białemi gorsami — bił pokłony, sypał złotem i klejnotami — a ona nic. Patrzyła zimno na ten tłum tak zaufany w sobie, a tak marny.

Budzili w niej tylko odrazę — nawet wtedy, gdy milkli zasłuchani, śledząc ruch jej ust. Śpiewała dla siebie — tłum szalał, cała widownia wyraźnie dzieliła się na dwa wrogie obozy:

czarny i biały. Jeden chciał kochać i szaleć, choćby za cenę honoru, ruiny — drugi nienawidził, zazdroszcząc — —

Miłość i nienawiść ścierały się koło niej, była obojętną — zimną.

Nie zrozumieli jej sztuki, a pragnęli dać jej to, co było jej wstrętnem — już przez samo pragnienie zbiorowe tłumu.

Tak, może być, że między nimi byli i tacy, dla których snem niedoścignionym byłby jej uśmiech, lecz oni byli z tłumu, z tego samego, który widział w niej zawsze aktorkę — kobietę, ale nie rozumiał — sztuki.

Czasami lubiła się bawić — tak jak bawią się dzieci: zapalać i gasić zapałki, ona zapalała serca ludzkie i gasiła jednem spojrzeniem. Nazywała to zabawą, co było może klęską czyjegoś istnienia. Raz tylko pamięta łzy dziecka — mężczyzny. Pozwoliła mu się wyszlochać i — zginął.

Nawet chciała mu dać złudzenie — lecz hardą miał duszę. — „Jałmużny nie biorę" — odpowiedział. Ale to było prawie dziecko.

— Czemu — tak w życiu wszystko się mści — myślała, „Jałmużny nie biorę", wypełzło to straszne zdanie, zmieniając wartość i znaczenie. Tak nawet jałmużny — szepnęła, lecz zbudzona duma czaiła się w jej duszy — Ach, więc tylko tyle? — Nie, za nic na świecie. Rozmówi się z nim jutro stanowczo — musi wiedzieć co myśli — za czem tęskni, a potem, jeśli będzie choćby najmniejsze prawdopodobieństwo wygranej — to wszystko odrazu, albo nic.

Uspokoiła się — co to jest wszystko — wiedziała, a raczej przeczuwa, a to ostatnie słowo — —

Czyż ono tak straszne? To cisza — wyzwolenie, cudowny sen wieczny — —

— Czy pan jest odważnym? — spytała Lili Wertolda.

— Na wojnie nie byłem, więc nie wiem.

— Proszę nie żartować, bardzo poważnie pytam.

— Sądzę, że tak. Czy tu się rozchodzi o prawdę? bo o ile wiem, to ludzie jej panicznie się boją — musi więc być czasami czemś strasznem — jak pani sądzi?

— Tak samo jak pan przypuszczam, choć dotychczas nie przerażała mnie ona zupełnie. Czy pan się kiedyś kochał? — Co? w „Rusałce“! Przecież nie zasługuję na takie żarty i chcę wiedzieć czy kochał kobietę. Nie?

To trudno uwierzyć — przecież jest artystą i nie może być tak niewrażliwym — kobieta też jest wcieleniem piękna — nawet symbolem.

— O mój Boże, cóż ja pocznę, ale nie znałem tego uczucia.

— A mnie, czy mógł byś pokochać — Rom pomyśl — —

— Czy to prośba?

Skurcz bólu na twarzy Lili zmienił się w łagodny uśmiech —

— Tak, prośba, żebyś się zastanowił, czy mógłbyś mnie pokochać. Ach nie, nic ukrywać nie mam zamiaru — już nie mogę — kocham — jak? co? to pytania bez sensu dla mnie.

— Dlaczego?

— Tego ani ty, ani ja nigdy się nie dowiemy — po prostu kocham.

I cóż ty na to?

— Nic — myślę tylko o tem, co się pani stało i pojąć nie mogę, czemu pani gra.

— Ja nie gram — zaprzeczyła swobodnie, lecz powieki jej drgnęły, przypomniał się jej nagle potok — ach ten cień —

— Zresztą przypuśćmy, że naprawdę tak jest. To musi być dziwne uczucie, a już najbardziej podziwiam, żeś tak odrazu odróżniła od tylu odegranych ról. — Co do mnie, to często własnego urojenia nie jestem w stanie oddzielić od rzeczywistości.

Proszę mi wierzyć — nieraz tak myślę: przyjaźń, uczucie, sympatja — to tylko podświadoma „auto-gra" dla uniknięcia pustki.

Czemu się Lili tak patrzysz na mnie?

No, dobrze wierzę, już wierzę, że chcesz w siebie wmówić uczucie do mnie; ale ja muszę być szczerym teraz z tobą i powiem, że nigdy mię o tem nie przekonasz, bo jako artysta stwarzasz sobie fantazje, a jak teraz — dramat.

Zupełnie serjo mówię — zastanawiam się, czemubym nie mógł pokochać ciebie i wiem napewno — czuję, bo jesteś — — proszę daj mi skończyć — jesteś wielką artystką — możesz złudzić — dać grę uczucia tłumowi — porwiesz go napewno — uwierzy. Ale mnie jako jednostki z tegoż tłumu grą nie oczarujesz, choć widzę, żeś sama uwierzyła w to, co chcesz wmówić we mnie.

Zresztą to takie proste, ja marzę o cudnej pieśni, w której znajdę wszystko to, co ty byś mi dać mogła lub inna kobieta. Ale i to czego wszystkie najcudniejsze na całym świecie dać mi nie mogą — a wiesz co? — Harmonji — — —

Znam życie i wiem, że jest zawsze rozdźwiękiem, dysonansem w szczęściu dwojga ludzi pozornie sobie najbliższych. Mylisz się. Bo ja z pieśni mogę dysonans usunąć, albo umyślnie go wywołuję dla uzyskania czystości następnych tonów — a w życiu rządzi przypadek, los — przeznaczenie.

Zresztą po co ja to wszystko mówię. No nie, nie wierzę — to jest cudowna gra podświadoma — arcydzieło — tęsknoty duszy artystki, która — —

— Proszę cię przestań — czy ty nie czujesz krzywdy, jaką mi czynisz?

Więc czem mam cię przekonać o prawdzie mych słów? —

Powiedz czem? Uczynię wszystko, przed niczem się nie cofnę.

— Wybacz mi — tak myślę, trudno. W jednym, jedynym wypadku był — bym uwierzył — — —

Tak uwierzę, jeśli swą grą byłabyś w stanie złudzić mię aż do tego stopnia, że nie byłbym w możności odróżnić gry od własnej mojej fantazji. Sztuki tej nikt dokonać nie może, no ale jeśli złudzenie wywołane grą byłoby tak silne, że stwarzałoby nowe twórcze wartości, wcielało się w bieg życia mojego poza moją świadomością, to wtedy pewien jestem, że pokochałbym cię, gdyż dałabyś wtedy to, czego mi brak — natchnienie. Może teraz się zorjentujesz, czem jest dla mnie Sztuka? — wtedy byłabyś symbolem jej twórczości.

Ale co? jak? przysięgam ci, że sam nie mam pojęcia.

— Ale ja wiem, co by to mogło być. — Czy możesz mi zagrać „Rusałkę“?

— Nie!

— Czemu? powiedz? Ach — rozumiem, tak jest, jak myślisz. Ale jednak zagraj, ja proszę — zagraj „Rusałkę“.

Gdy zmrok wieczorny zapadał, była ostatecznie zdecydowaną. Spojrzała na zegarek, teraz była już pewną, że dalej dziś nie pójdzie — zresztą przeważnie nocował przy Czarnym Stawie. Przed chwilą przeszedł jakiś dziwny — zamyślony — smutny. O tak, nie myli się, zna jego chód — sylwetkę — tyle razy go obserwowała umyślnie, aby moc nawet przy bardzo słabem świetle poznać go zdaleka.

Plan miała zupełnie prosty: będzie „Rusałką".

Gdy księżyc zaświeci, zejdzie z pierwszego zakosu z pod Kościelca. Jak to dobrze — on nigdy nie słyszał jej głosu; choć zresztą to wszystko jedno, czy ją pozna, czy nie.

Mroziła ją tylko myśl, a jeśli tam będą obcy ludzie razem z nim? — to tak prawdopodobne, choć wie, że zwykle sam nocuje.

Uprzytomniła sobie tę chwilę, kiedy postanowiła, że to będzie jej pierwsza gra bez uprzedniej próby. Gra o całe życie — — —

To jedno, co musiała zrobić, to jest dokładnie zbadała teren — sam staw w promieniu kilkunastu kroków; są tam w znanych jej miejscach płyty granitowe tak wybrane, że można śmiało wstąpić na tą iście królewską scenę — a jeśli woda podmyła? straci grunt pod nogami? to co? Nastąpi sen o szczęściu, czyż to takie straszne — —

Uśmiechnęła się do własnych myśli: Trzeba było już — iść, aby być na porę — to jest przed zmrokiem.

— —

Serce jej biło tak silnie, aż chwilami drżała z nerwowego napięcia — —

Niebo cudownie łyskało gwiazdami, a coraz było ich więcej — cały rój srebrny unosił się nad wodami jeziora i ostremi poszarpanemi turniami.

Wiatr lekkim oddechem zganiał mgły ku Kościelcowi — tuliły się jej do stóp przejrzystą przędzą zwiewną, jak ślubny welon.

Od posępnych grani Koziego Wierchu i Zamarłej Turni szedł ciepły wiew.

Pełnemi oczami łez spojrzała ku niebu.

— Boże, tylko sił — sił — — tak jest zupełnie spokojną, to co się stanie nie będzie niczem innem, niż odbiciem tęczy, co po burzy zwiastuje ciszę. Czyż świetlista zjawa jest anachronizmem? Nie. Istnieje moment i niknie przed człowiekiem, gdy się chce zbliżyć, roztapia się, jest nieuchwytną, pozostawia tylko wrażenie śmiałego rzutu kolorów.

Czyż wołanie o ratunek — bluźnierstwem będzie w tej ciszy świata? Nie — — —

— —

— —

Wertołd siedział przed schroniskiem na stopniach z głazów i patrzył — na dziwne, fantastyczne kształty śniegów, które cień nocy zagubił. Patrzył na skalne półki zarysowane przyćmionem srebrem, na wodę milczącą w bezruchu, ciemno-granatową — senną.

Lekka mgła zawisła na krawędzi Granatów i chwiała się ledwo dostrzegalnym ruchem — halny zazierał z za Koziego Wierchu, kłębiąc wał ciężko zawisłych chmur.

Cały świat legend odżył w nim. Tu piorunową rysą zbiegał źleb z resztą ginącego śniegu, tam znowu skrzą się zawaliska ginącej lawiny o niejasnych kształtach, a pod Kozim Wierchem drga, migoce płat śnieżny, to niknie, to błyska seledynowym tonem — jak błędny ognik nad uroczyskiem.

Ciepły wiew halnego łagodnie musnął powierzchnię jeziora — ożyło nagle. Zadzwoniły i zcichły poszeptem fale. Rozbiegły się piorunowe zygzaki po wodach — drga toń srebrnym dreszczem biegnących od brzegów fal.

Cisza ogromna, tajemnicza zadźwięczała nagle odległą pieśnią; wzmaga się zwolna — już pierwsze echa zagrały skalnych chórów. Pieśń dzwoni cudowna coraz bliżej — coraz głośniej — —

Srebrzyste światło księżyca rozświetla mroczne żleby, rosną turnie, olbrzymieją — —

Co to? — pioruny srebrnych błyskawic biegną po tafli cichego jeziora i giną w nadbrzeżnych złomach.

Spojrzał zdumiony— to zwolna wstępuje w jezioro cudna postać dziewczyny, jaśniejąca poświatą księżyca.

Coraz wyraźniej słyszy pieśń — to ona śpiewa. Zbliża się, idzie lekko pochylona — tańczy, kreśląc rytmicznym, a zwiewnym krokiem srebrne koła wodne.

Zwalnia, przystaje, patrząc gdzieś w głębię wód — odchyla głowę — płaszcz cudownych splotów wstrzymuje ręką, zda się, że zstępuje w toń zamarłego jeziora po srebrnych stopniach fal. Tańczy — —

Zlekka trącona fala małą, jakby dziecka stopą „Rusałki", odbiega i wraca po chwili, całując jej nogi, tuli się łagodnie, a za nią następne — i tak bez końca hołd składają — fale —

Rozbiegły się w szerokie taneczne koła, łączą się, to znowu ku niej rozedrgane szalonym pląsem, srebrne wracają fale.

Ona się chyli ku rozkołysanej wodzie jeziora jasna, śmiejącą się światłem księżyca, to gasnąca cieniem —

Tańczy — — —

Spłoszone mkną, srebrząc dokoła ciemną toń i wracają zmęczone, drżą u jej kolan — fale.

Halny ciepłym wiewem pieszczoty ogarnął ją, otulił srebrzystą przędzą mgieł spełzłych od szczytów.

Zadrżała.

Przepyszna fala włosów osuwa się po nagich, przejrzystych jak alabaster ramionach, zbiega wężowym splotem na piersi — nagle zebrana wiatrem osłania ją królewskim płaszczem żywego jedwabiu, co się przebłyska światłem jasnej księżycowej nocy.

Zachwiała się — zimny nurt objął ją — — — —

Myśl mu się mąci — serce bije, mruży powieki przed blaskiem — własnych myśli, przed cudną zjawą „Rusałki“ — śni sen czarowny — —

Wynurza się z toni „Rusałka“, sypiąc dokoła brylanty, idzie ku brzegom, a każdy ruch jej jest wcieleniem harmonji — poezji — —

Zawiał halny. Silnym powiewem otulił „Rusałkę“ jej płaszczem włosów.

Nagle zerwał, odsłonił całą na moment i otulał, przędząc mgły srebrno-siwe.

Wyszła z jeziora — znikła, jak niknie tęcza, gdy zgasi ją cień spełzły od turnic szczytów — — jak sen co się prześnił na świtaniu — — — — —

— —

Oprzytomniał — rzucił się biec — za niknącą zjawą „Rusałki“ — — —

Znieruchomiały wody jeziora, zacichły echa.

Cisza — — —

Jakaś groza powiała od tej bezszelestnej pustki zamarłej w cieniach wód.

Nieprzenikniona mgła wionęła — zasłaniając świat cały — przecięła mu drogę — potknął się o złomy, leżące rumowiskiem — upadł, głową uderzył o kamień — zemdlał — — —

— —
— —
— —

Minął dzień długiego oczekiwania. Całą noc spędziła, nadsłuchując. Gdy świt się budził, zasnęła wyczerpana.

Śniło się jej, że lecą gwiazdy i toną w jeziorze, a woda się wielkiemi kręgami roztacza, pieniąc się u brzegów o wielkie głazy omszałe.

Ocknęła się, ktoś — stuka do drzwi.

— To on — —

Tak zaraz zejdzie na dół — ależ naturalnie że posłucha — Tak — —

Radość i lęk ją ogarnął — co ona mu powie? — co mu dać może? — —

Dała wszystko — — —

Co to? — cień pełznie — noc ją otacza — —

— —

Ogarnął ją lęk — co będzie? — nie, wszystko niknie porwane jakimś wirem myśli.

Jak ślepiec, co zbłądził wśród pustkowia, nie mogąc odnaleźć kierunku, tak i ona wyczekiwała pomocy. Jak dziecko spłoszone.

Pobiegła myślą w dom dzisiaj pusty — dawniej gwarny; pragnęła siebie zobaczyć — tą dawną wśród swoich najbliższych.

Wróciła myśl drżąca, wylękła — bezsilna rozpaczą, że wszędy napotkała pustkę i groby — jest sama na świecie, a dokoła otacza ja obcy tłum gwarny, huczący, a pośród nich patrzą oczy dziecka.

Są jasne jak niebo, ogromnie zdziwione.

Ach co to? — słońce pada na jasną główkę, śmieje się ono samo jedno — tłum milczy.

Nie — nie — to być nie może!

Czemu? — pyta się tęsknota szeptem cichym, nieśmiałym —

Przez chwilę, przez moment — czy nie można być szczęśliwą?

— —

Tłum szaleje, głuszy oklaskami czyjąś skargę —

Boże, co to jest? — pośród nich stoi dziecko bezradne, zamyślone i szeroko rozwartemi oczami patrzy smutno — smutno.

Czemu takie samotne? czemu?

Niknie, zmienia się, a jednak rysy zostają — to on, tak samo patrzy, jak dziecko.

Patrząc przed siebie — mija obojętnym spojrzeniem ludzi, oślizga się po nich wzrokiem, szuka kogoś — szuka nieustannie.

Czuje zawrót głowy — a to tak?!

Uśmiechnął się do niej — zawahał się i wzrok jego ją minął — wciąż szuka.

— Boże, Boże — łka Lili — czemu?

Ach maleństwo!

Zerwała się na pół przytomna —

Duże oczy dziecka szukają kogoś w przestrzeni, uśmiechają się przez chwilę i znowu smutnem spojrzeniem idą w dal —

— —

Co mu dasz? — zbudziło ją twarde pytanie. Ocknęła się, mruży oczy przed słońcem — nareszcie zawładnęła sobą, już jest zdecydowaną.

To co przeżyła myślą, nabiera dla niej niczem niezaprzeczonego znaczenia prawdy.

Puka ktoś znowu —

— —

— Tak chciała bardzo, ale ją szalenie głowa boli — —

Nie jest w stanie —

Tak przykro — — —

Jutro naturalnie — jutro.

Odszedł — — —

— —
— —
— —
— —
— —

Migają pola, lasy — huczą tunele.

To potok się wije — ucieka.

Nad Adrjatyk — jedzie, nad Adrjatyk.

Dała wszystko, co dać pragnęła, co mogła — a teraz tylko już samo uczucie kobiety, a to znajdzie u każdej.

Niech tęskni — za „Rusałką".

Fałków, 18. I. 1923.

OBJAŚNIENIE GWARY GÓRALSKIEJ.

Chcąc objaśnić znaczenie wszystkich słów góralskich, które zostały użyte w nowelach, musiałbym cały ich słownik załączyć; wybieram więc tylko te, których tak brzmienie, jak i znaczenie może być trudne do odgadnięcia dla czytelników. Na pierwszem miejscu zaznaczam, że górale nie wymawiają zupełnie **ch** tylko **h** i że zamiast końcówki **ach** — wymowa ich ma brzmienie **ak.** Nie słyszy się też u nich **ę** tylko **e,** jedynie tylko w bardzo rzadkim wypadku, n. p. **niescęscie** i t. p.

Bardzo też często **a** brzmi jak **o**, **y** jak długie **i**, **e** jak głębokie **y.**

Czyli właściwie powinienem dać tam akcent, n. p. **zabàcýć** i t. d., lecz po namyśle zaniechałem tego z wielu powodów, z których dwa najważniejsze wymieniam.

Po pierwsze, że przedemną tą gwarą pisali mistrze tacy jak Kazimierz Przerwa Tetmajer, Stanisław Witkiewicz, Władysław Orkan, a nieoceniony konserwator Sabałowych bajek, Andrzej Stopka, w swoim przepysznie opracowanym Sabale umieścił słownik wielu wyrażeń gwarowych.

Drugi powód to ten, że mimo akcentowania czytelnicy zupełnie nie zwracają na to uwagi, dla wielu stanowią one trudność w czytaniu, obznajmieni zaś z gwarą góralską doskonale sami wiedzieć będą, jak wymawiać.

Poprzestałem na usunięciu **ch** — a często zamiast **y,** pisałem **i** i t. d.

Śpiewki góralskie są albo moje własne, albo starodawne i te oznaczyłem odnośnikami tak samo, jak dwie Tetmajera, które się już wżyły w halę i tu zamieszczam objaśnienie:

1) Śpiewka przyp. układu Tetmajera.
2)
3) Staroświeckie piosenki góralskie.
4)
5)
6) Śpiewka przyp. układu Tetmajera, w której zmieniłem imię.

SŁOWA GWAROWE.

B. Baca — najstarszy pasterz w szałasie. Bacyć — pamiętać. Bośkać — całować. Bacówka — szałas pasterzy owiec. Bimbadła — dzwonki mosiężne spłaszczone (krowie). Bars — bardzo. Bok — bo.

C. Cuha — (Czucha) gunia góralska, rodzaj peleryny z rękawami. Cyrniawa — ciemna chmura, najczęściej gradowa. Cysto pieknie — zupełnie, doreszty.

D. Dutkować — pochlebiać. Dudki — pieniądze. Dudławy — dziurawy, wypruchniały. Durknąć — palnąć, strzelić. Dziadula — pogardliwie biedota.

F. Fce — chce.

G. Gazda, gazdzina — gospodarz, gospodyni. Grań — krawędź skalna. Giełceć — rozlegać się.

H. Habryka — tytuń do fajki. Hala — łąka górska. Hańbić — wstydzić. Hybaj — chodź, idź. Herba — herbata. Hnetki — wnet. Honielnik — goniec, uczeń na pasterza owiec.

I. Ik — ich. Ino — tylko.

J. Juhas — pasterz owiec. Juhaska — wogóle pasterka (krów). Juzek — już. Jakoz — jak. Jaze — aż.

K. Karwas — kawał. Kapać — zdychać. Kosor albo koszar — ogrodzenie dla owiec. Kierdel — stado owiec. Kurniawa — zadymka, śnieżyca. Kany — gdzie.

L. Labiedzić, lamencić — narzekać, lamentować, biadać. Liptak (Luptok) — słowak, zamieszkały na dolinie Liptowskiej. Luto — żal. Łońskiego roku — zeszłego roku.

N. Na wnuku albo w nuku — wewnątrz, w sobie. Naremny — gwałtowny. Nosować — nosić. Nigda — nigdy.

O. Oscypek — serek owczy podłużny, wyciskany w specjalnych ozdobnych formach drewnianych. Ozpalować — rozpalać. Odwiecierz — wieczór. Ozpuczyć — rozbić, pęknąć.

P. Płony — marny, nędzny. Piarg — rumowisko. Prasnąć — rzucić, cisnąć. Prec — daleko. Pedział — powiedział. Pytać — prosić.

R. Rad widzieć — lubieć. Ruka, rucka — ręka, rączka.

S. Smrek — świerk. Štrybny — stromy, spadzisty. Ślebodny — swobodny, wolny. Ś nim — z nim. Siompawica — drobny deszcz. Sajta — szczapa drzewa. Szałaśnik — wróbel skalny.

T. Turlikanie — dzwonienie podłużnych przypłaszczonych dzwonków owczych, zwanych „kłapacami". Truhła — trumna. Turcoń — dzwonek.

U. Uwazowac — myśleć. Uzdajane — dopasowane, urządzone, zrobione, przyszykowane,

Watra — ognisko. Wanta — kamień (skała). Wereda — przekleństwo (potwór). Wyskanie — nawoływanie się juhasów, juhasek (hop—ho-op!!)

W nuku — w środku. Wto — kto. Wierh — szczyt.

Z. Zabacyć — zapomnieć. Zalubić — pokochać. Zahubić — zniszczyć, zaprzepaścić. Zbyrceć — dzwonić, brzęczyć. Zwysyć sie — zbywać. Żleb — wąwoz skalny. Zawaternik — kawał okrąglaka (kłoda), będąca podstawą watry. Żabice — okrągłe kamienie, utoczone przez silny prąd potoku.

ZESTAW I DRUK
WYKONANO W ZAKŁADACH GRAFICZNYCH
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
W POZNANIU